



w mediach

Przegląd tygodniowy: 7 - 13 lutego 2009 r.

„OKRĄGŁY STÓŁ URATOWAŁ SZCZECIN OD STRAJKU GENERALNEGO”

mm.szczecin.pl, 7.02.2009

Rozmowa z Edwardem Radzewiczem, członkiem obrad Okrągłego Stołu. Jako jedyny przedstawiciel opozycji z naszego regionu zasiadał przy głównym stole. Przewodniczący komitetu strajkowego w sierpniu '88, oraz były pracownik portu w Szczecinie.

Kiedy dowiedział się pan o perspektywie rozmów przy Okrągłym Stole?

- W sierpniu 1988 roku. To był 15 dzień strajku, ludzie potwornie wymęczeni całą sytuacją, nie wiemy jak to skończyć, jedno jest pewne - przegrywamy. Wtedy zadzwonił do mnie Lech Wałęsa i padło hasło "Okrągły Stół". Nie wierzyłem, że obrady kiedykolwiek dojdą do skutku, ale w tym czasie było to dla nas jedyne honorowe wyjście ze strajku. Dlatego, by nie stracić tych tysięcy ludzi, przemianowaliśmy komitet strajkowy na Międzyzakładowy Komitet Organizacyjny. Doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że nie ma szans na naszą rejestrację, ale w ten sposób szykowaliśmy nasz region do poważnych strajków, a nawet generalnego, który był przygotowywany na wiosnę.

Czyli gdyby nie obrady i ich wynik, czekałby Polskę kolejny strajk?

- Tak, mieliśmy za sobą armię ludzi, gotowych do działania.

Które z ustaleń Okrągłego Stołu były dla pana najważniejsze?

- Dwa efekty Okrągłego Stołu liczyły się dla mnie najbardziej: po pierwsze został zarejestrowany związek, a druga sprawa to czerwcowe wybory. Reszta po wyborach czerwcowych przestała się liczyć, przestała być zasadna bo zmienił się całkowicie ustrój państwa. Mimo to pamiętam jak na pierwszym regionalnym zjeździe po zarejestrowaniu Solidarności powiedziałem, że zgolę brodę, kiedy padnie komuna. Jak widać, broda do tej pory nadal jest i tylko zbielała... Bo komuna wcale nie skończyła się w momencie obalenia starego systemu. Przez tyle lat zdążył się w ludziach zakorzenić na dobre.

Jak zapamiętał pan te miesiące dyskusji i sporów, podczas których oczy całego świata były skierowane na Polskę?

- Od początku nie wierzyłem, że to się uda. Byłem przekonany, że zostaniemy zdradzeni i oszukani. Dlatego budowaliśmy zaplecze w postaci MKO. Bo prawdziwą siłą są ludzie.

Przez pierwszy miesiąc rozmów mówiliśmy jasno i wyraźnie: nie ma wolności bez Solidarności, a oni, czyli władza chcieli nas wciągnąć w tzw. lipne współzarządzanie i pełną odpowiedzialność. Wiedzieliśmy w co grają. Na początku nie było żadnego przyzwolenia ze strony władzy na rejestrację Solidarności. Pierwsze dwa tygodnie można było porównać do „cichych dni” w rodzinie, gdzie nawet zwykła informacja nie chce przejść przez gardło. Impas w rozmowach przełamały pewnie

spotkania w Magdalence. Nawet ostatniego dnia, kiedy wszystko czekało tylko na podpis okazało się, że OPZZ nie chce podpisać, bo nie zgadza się na istnienie Solidarności. W końcu po wielu godzinach przerwy doszło do kompromisu. Moim zdaniem skutecznego.

Jaka atmosfera panowała podczas obrad?

- Rozmowy bardzo zbliżają ludzi. Nie spodziewałem się nawet, że aż tak. Czasami patrząc w oczy Kiszczakowi nie widziałem w nim złego człowieka. Widziałem w nim partnera. Zbyt łatwo przychodziło mi zapominać o tym kim jest, miałem do siebie o to pretensje. Uważam, że Okrągły Stół nie jest powodem do stawiania jemu, czy Jaruzelskiemu pomnika, to była by paranoja.

Które nazwiska z obrad Okrągłego Stołu zapamiętał pan najbardziej?

- Była nawet taka ankieta, podczas obrad. Pytanie brzmiało identycznie. Ku zdziwieniu i złości moich kolegów napisałem, że najbardziej wyrazistą osobowością, której wróżę wielką przyszłość jest Aleksander Kwaśniewski. No i okazało się, że miałem trochę racji.

NAJSŁYNNIEJSZY POLSKI MEBEL

Szymon Kiżuk

LinkPolska.com, 7.02.2009

Przed dwudziestu laty był najważniejszym meblem w Polsce. Dzisiaj, troszkę zapomniany, stoi w jednej z sal w bocznym skrzydle Pałacu Prezydenckiego. Ale bez Okrągłego Stołu nic chyba nie wyglądałoby tak, jak dzisiaj.

Od ekonomii politycznej socjalizmu do międzynarodowej korporacji

Jak wyglądała Polska przed dwudziestu laty? Kiedy cofamy się wspomnieniami w tamten czas, zaskakuje ogrom zmian, jakie wydarzyły się nad Wisłą. „Jakby mi ktoś dwadzieścia lat temu powiedział, że będę pracować w Londynie w międzynarodowej korporacji, to wziąłbym go chyba za wariata” – opowiada Janusz, ekonomista w dużej firmie ubezpieczeniowej. Gdy dwadzieścia lat temu zaczynał studia, jednym z kierunków była ekonomia polityczna socjalizmu, Londyn był tylko odległym miastem, pokazywanym czasem w „Dzienniku Telewizyjnym”, a o wyjeździe za granicę trzeba było najpierw porozmawiać z panami z Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Dzisiaj żyje w zupełnie innym świecie. I jest przekonany, że gdyby przed dwudziestu laty nie ustawiono w Pałacu Namiestnikowskim w Warszawie okrągłego stołu, to dzisiaj nie byłby tu, gdzie jest.

Kompromis czy spisek?

Ale zdań o Okrągłym Stole jest wiele. I nie wszyscy uważają, że kompromis, na który postawił Lech Wałęsa, ze skupioną wokół Komitetu Obrony Robotników opozycją, siadając do rozmów z komunistyczną władzą, był rzeczą właściwą.

Jednym z przeciwników takiej formy porozumienia jest Janusz Korwin-Mikke: „Cały ten Okrągły Stół był zmontowany przez

polską bezpiekę” – mówił w jednym z radiowych wywiadów. „W dalszym ciągu żyjemy w tym samym ustroju, jest tylko inna fasada, przemalowana z czerwonej na różową”.

Argumenty zwolenników teorii „spisku w Magdalence”, wśród których jest też m.in. legenda pierwszej „Solidarności” Andrzej Gwiazda, są właśnie takie: władze były świadome, że system komunistyczny jest na krawędzi katastrofy. Gospodarka planowa była w zasadzie trupem, nastroje społeczne znów robiły się gorące – latem 1988 roku przez kraj przetoczyła się kolejna fala strajków. Tylko że po wojnie w Afganistanie ZSRR był bankrutem i groźba wojskowej interwencji nie wchodziła w rachubę. A skoro „Wielki Brat” nie był w stanie pomóc, trzeba było poradzić sobie samemu. Najlepiej jeszcze tak, by „przy okazji” dobrze się samemu ustawić.

Atmosfera nieufności wobec rozmów z władzą, która nie tak dawno jeszcze kazała strzelać do protestujących robotników na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku, a potem do górników w kopalni „Wujek” w 1981 roku, była chyba największą przeszkodą dla powszechnego zaakceptowania konieczności kompromisu. „Ten stół otacza narodowa nadzieja, ale także nieufność. Będą ludzie, którzy tego, czego się dopracujemy, nie zaakceptują. Nie możemy tego nie wiedzieć i nie uszanować. Od wszystkich wszakże oczekujemy lojalnego zrozumienia dla wagi spraw, jakie podejmujemy, i dla odpowiedzialności, jakiej ta chwila wymaga” – mówił dwadzieścia lat temu podczas inauguracji obrad Lech Wałęsa.

Rama dla polskiej niepodległości

Wydaje się jednak, że kompromis i ustępstwa były jedynym wyjściem. „Dzisiaj oceniam Okrągły Stół jeszcze bardziej pozytywnie, niż w tamtych dniach” – mówi Aleksander Hall, uczestniczący w rozmowach po stronie opozycji. „Wtedy przecież nie był jeszcze pewny finał tych rozmów, nie wiedzieliśmy również, jaki będzie wynik czerwcowych wyborów. Moim zdaniem Okrągły Stół stał się ramą dla polskiej niepodległości”.

Były minister pierwszego rządu wolnej Polski premiera Tadeusza Mazowieckiego podkreśla, że polskie porozumienie było przykładem dla innych państw obozu demoludów. „Bezkrwawe przekazanie władzy, nawet z pewnymi gwarancjami dla ustępującego reżimu, było rozwiązaniem stosowanym we wszystkich krajach obozu postkomunistycznego z jednym wyjątkiem – Rumunii” – dodaje Hall. Polityk nie chce jednak spekulować, jak wyglądałaby polska rzeczywistość, gdyby Okrągłego Stołu nie było. „Jest zbyt wiele niewiadomych” – ocenia. „Co prawda, pod koniec lat 80. nie było w polskim społeczeństwie zbyt rewolucyjnych nastrojów, jednak można sobie zadać pytanie, czy brak reform gospodarczych, które były przecież efektem porozumienia, nie doprowadziły z czasem do katastrofy ekonomicznej, spirali inflacji, a przez to do radykalizacji środowisk opozycyjnych i konfrontacji z władzą”.

Efekt domina

W Pałacu Namiestnikowskim pojawił się jednak stół, kilka miesięcy później, w czerwcu „Solidarność” wygrała w wyborach wszystko, co mogła wygrać. W kontraktowych wyborach do Sejmu opozycja zdobyła wszystkie mandaty z możliwych 35 procent, w Senacie na sto miejsc tylko jedno przypadło kandydatowi spoza Komitetów Obywatelskich. Potem po raz pierwszy w bloku komunistycznym premierem rządu został Tadeusz Mazowiecki, czyli ktoś, kto nie wywodził się z tzw. aparatu, tylko z opozycji. Ruszyła lawina. W listopadzie 1989 roku zaczęła się czeska aksamitna rewolucja, rozchwiały się też berliński mur, niedługo potem okazało się, że Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich jest już tylko historią...

Dzisiaj często chyba nie zdajemy sobie sprawy, że w 1989 roku udało się Polsce osiągnąć coś naprawdę wielkiego. Bo dla pokolenia dzisiejszych trzydziestolatków, Okrągły Stół to jednak bardziej pojęcie historyczne, niż realne wspomnienie. „Okrągły

Stół? W salonie mam okrągły stół” – śmieje się Marta ze Słupska, współwłaścicielka firmy handlowej. „Ten kształt jest o tyle fajny, że zawsze można więcej osób przy nim upchnąć, o ile nie zaczęły używać łokci i się rozpychać. A co do tamtego Okrągłego Stołu – to dobrze, że ludzie siedli przy nim i porozmawiali. I że coś z tego wyszło. Nawet, jeśli to wszystko miało dużo wad, to było lepsze od gonięcia się po ulicach z pałkami...”

Chwalmy się tym!

W dwadzieścia lat po, Polska wreszcie zaczyna się głośno chwalić tym, że to właśnie nad Wisłą zaczął rozsypywać się blok komunistyczny. Na początku specjalne billboardy pojawiają się w Berlinie. Rok 1989 ma symbolizować pęknięte ogniwo wygięte w kształt polskich granic. Nad nim niemiecki napis „Zaczął się w Gdańsku”. „Zaczynamy w lutym, w rocznicę rozpoczęcia obrad Okrągłego Stołu. Chcemy przybliżyć Niemcom naszą najnowszą wspólną historię. Zbyt często Niemcy pytali polskich dyplomatów, jak upadek muru przełożył się na upadek komunizmu w Polsce. A przecież było zupełnie na odwrót” – mówiła na łamach „Gazety Wyborczej” Małgorzata Ławrowska, radca w ambasadzie w Berlinie. Na innych banerach pokazane zostaną m. in. przewracające się kostki domina. Pierwsza będzie symbolizować Polskę.

Taka akcja jest Polsce potrzebna – wystarczy porozmawiać z kimkolwiek z „Zachodu”, kto chociaż trochę interesuje się najnowszą historią, by zorientować się, że o polskim początku przemian w zasadzie wiedzą chyba tylko pasjonaci. „Kiedy upadł komunizm? No, jak runął mur w Berlinie...” – Nick jest Szkotem, aktualnie mieszka w Irlandii Północnej, ale wcześniej żył i pracował w kilku krajach Europy. W Polsce też już był, i to nie na weekendowy ubaw w Krakowie. Kiedy wyjaśniam mu chronologię wydarzeń, kiwa głową. „No tak, Wałęsa, Okrągły Stół, demokracja... No to, dlaczego nie chwalicie się tym tak, jak Niemcy zburzeniem muru?”

Liczby Okrągłego Stołu

61 – tyle dni trwały obrady Okrągłego Stołu. Rozpoczęły się 6 lutego 1989 roku, skończyły 5 kwietnia 1989 roku.

58 – tyle osób zasiadło do inauguracyjnych obrad przy Okrągłym Stole. Było to 55 przedstawicieli opozycji oraz strony partyjno-rządowej, a także trzech obserwatorów ze strony Kościoła. Dwudziestą rocznicę obrad doczekało 37 osób.

452 – tyle osób w sumie brało udział w pracach wszystkich okrągłostołowych zespołów.

3 – w tylu głównych zespołach toczono prace – były to zespoły ds. gospodarki i polityki społecznej (przewodniczący: Władysław Baka PZPR i Witold Trzeciakowski „Solidarność”), ds. reform politycznych (przewodniczący: Janusz Reykowski PZPR i Bronisław Geremek „Solidarność”) i ds. pluralizmu związkowego (przewodniczący: Aleksander Kwaśniewski PZPR, Tadeusz Mazowiecki „Solidarność” i Romuald Sosnowski OPZZ)

ROZMOWY PRZY OKRĄGŁYM STOLE

Dziennik Bałtycki/Polska, 07.02.2009

20 lat temu, 6 lutego 1989 roku, rozpoczęły się obrady przy Okrągłym Stole. Zacięci wrogowie - komunistyczna władza i solidarnościowa opozycja - spotkały się, by wypracować polityczny kompromis dotyczący przyszłości Polski. Ani jedni, ani drudzy nie przypuszczali, że finałem będzie koniec komunizmu. O czym myśleli?

Tekst powstał z fragmentów rozmów prowadzonych niezależnie z uczestnikami tamtych wydarzeń. Ze strony Solidarności mówią: Władysław Frasyniuk, Edward Szwajkiewicz, Aleksander Hall i Janusz Onyszkiewicz. Strona rządowa:

Stanisław Ciosek i Leszek Miller. Strona kościelna: biskup Bronisław Dembowski.

Frasyniuk: Pierwszym sygnałem, że będzie coś takiego, była amnestia w 1986 roku. Wtedy powstała tzw. specjalna lista Kiszczaka, lista osób do zwolnienia z więzień. To był czytelny sygnał, że władza szuka jakichś innych narzędzi, które - tak sądziliśmy - mają unieszkodliwić opozycję. A potem były dwie fale strajkowe w 1988, które chyba były tą kropką nad "i". No i był też telefon z Warszawy, że rozpoczynają się rozmowy, choć szczerze przyznam, że kompletnie nie pamiętam, kto wtedy do mnie zadzwonił.

Ciosek: Przygotowania do Okrągłego Stołu zaczęły się wiele miesięcy wcześniej. I polegały na powolnym zdobywaniu zaufania. To było bardzo trudne. Ludzie opozycji nieustannie podejrzewali, że chcemy ich wciągnąć w pułapkę.

Bp Dembowski: O tym, że mam być obserwatorem przy Okrągłym Stole, dowiedziałem się 12 września 1988 od prymasa Józefa Glempa. Kiedy się zgodziłem, prymas powiedział: - A o instrukcje nie pytasz? Instrukcja była tylko jedna. "Rób, co możesz, żeby pierwsza rozmowa nie była ostatnia". Potem uświadomiłem sobie, że rola obserwatora, który ma uwiarygodniać obie strony, jest szalenie niebezpieczna. Ale też powiedziałem sobie, że wolę z Kiszczakiem usiąść przy stole rozmów, niż chodzić do niego na Rakowiecką.

Frasyniuk: Przyszliśmy tam tak naprawdę z jednym postulatem: chodziło nam o legalizację Solidarności. To, że możemy stamtąd wyjść z mechanizmami, które zapewnią wolność i demokrację, nie mieściło się w głowie.

Onyszkiewicz: Była taka możliwość, że w ogóle nie siądziemy do rozmów lub przynajmniej trzeba będzie przesunąć termin. Panowała wtedy epidemia grypy i wielu delegatów chorowało, inni byli na ostatnich nogach. Moja żona sprowadziła z Anglii jakieś silne środki przeciwigrypowe, których u nas oczywiście nie było, i dzięki temu grypa nie przeszkodziła historii wtoczyć się we właściwe koleiny.

Bp Dembowski: Obóz rządzący zasiadał do stołu z widocznym poczuciem pewności siebie, ale w rozmowach byli grzeczni, uprzejmi, nie demonstrowali siły.

Hall: Pierwszego dnia dominowały we mnie dwa uczucia: silne przekonanie, że właśnie zaczyna się dzieć wielka historia. I zwykła ciekawość, jacy są ci ludzie. Do tej pory mój kontakt z władzami PRL to były zatrzymania i przesłuchania przez SB, więc byłem ciekaw, kim okazażą się ci, którzy nas wsadzali do więzień. Te pierwsze obrady to było badanie się, dystans, wzajemny respekt. Oni wszyscy, łącznie z Kiszczakiem i Jaruzelskim, za największych wrogów uważali Michnika i Kuronia, przez długi czas nie chcieli się zgodzić na to, by oni zasiedli przy Okrągłym Stole.

Ciosek: Adam Michnik od początku wzywał mnie od czerwonych pajaków. Mówił: panie Adamie, niech pan da spokój, może i ja jestem czerwony, ale dlaczego pajak. A on na to, że my wszyscy, czyli PZPR, jesteście takim starym, suchym pajakiem, który już nie może złapać muchy i niedługo padnie.

Hall: Spodziewałem się, że ci ze strony rządowej to będą niezbyt bystrzy, nudni ludzie, gadający partyjną nowomową, jakiej używali w partyjnych komunikatach. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że jest tam paru inteligentnych ludzi, jak Gdula, Reykowski, Ciosek czy Kwaśniewski.

Frasyniuk: Kwaśniewski różnił się od starszyny władzy. Pamiętam, w czasie rozmów przechylił się przez kogoś, kto siedział między nami, wyciągnął rękę i powiedział: "Władek, zapomnij o nich, za kilka lat to my będziemy rządzić. Poznajmy się, Olek jestem".

Hall: To jego zachowanie było charakterystyczne, bo on chyba do wszystkich z naszej strony przychodził i mówił: "Cześć, przejdźmy na ty". On się zdecydowanie wyróżniał spośród strony rządowej. Większość z nich siedziała z ponurymi twarzami, a on

tryskał dowcipem.

Onyszkiewicz: Osobą, która zrobiła na mnie lepsze wrażenie, był też generał Kiszczak. Wiedziałem, że jeszcze w stanie wojennym zabiegał o to, by pozyskać ludzi z kręgów intelektualnych. Niektórym nawet pomagał. Ja nigdy tego nie potrzebowałem, ale znam takich, którzy korzystali.

Miller: Bardzo chciałem poznać Zbigniewa Bujaka, który chodził do tej samej szkoły co ja, technikum elektrycznego w Żyrardowie. No i byłem ciekaw, jacy są Michnik i Kuroń. Dla naszego obozu to byli ludzie z piekła rodem i chciałem się przekonać, czy rzeczywiście czuć od nich siarką.

Szwajkiewicz: To wzajemne "macanie się" najlepiej było widać w czasie przerw i obiadów. Oni zachowywali się wręcz kumotersko. Dosiadali się do nas, zagadywali, pytali o prywatne sprawy. Doszło do tego, że członkowie OPZZ, którzy byli częścią obozu rządowego, siedzieli wyizolowani, we własnym gronie, a nasi przemieszani z rządowymi. Ale w większości przypadków były to tylko zdawkowe rozmowy, bo my tę skłonność do bratania się traktowaliśmy podejrzliwie.

Miller: To oswajanie się, przełamywanie wzajemnych stereotypów poszło szybciej niż wykuwanie porozumień. Myśmy szybko stwierdzili, że ci, których uznawaliśmy za awanturników, to w gruncie rzeczy rozsądni ludzie. Nici sympatii tworzyły się od początku. Ja bliżej poznałem Andrzeja Celińskiego, z którym przewodniczyłem podkomisji ds. młodzieży. Byliśmy jednym zespołem, który nie podpisał końcowego porozumienia. On twardo obstawał przy swoich racjach, ja przy swoich, jego prosił o dojsie do kompromisu Geremek, mnie Kiszczak, ale obaj się uparliśmy.

Z Celińskim świetnie nam za to wychodziły rozmowy prywatne. Obaj byliśmy młodzi, mimo różnych życiorysów mieliśmy naturalną otwartość. Gadaliśmy o wszystkim: piłce nożnej, młodzieńczych szaleństwach. Podobna więź wywiązała się między Kwaśniewskim a Michnikiem. Kwaśniewski często mówił o nim w superlatywach, widać było, że jest pod jego wrażeniem.

Onyszkiewicz: Nie brakowało śpięć. Już na początku rozegrała się walka o to, jak pokazywać w mediach te obrady. My twierdziliśmy, że są dwie strony: rządowa i Solidarność. I chcieliśmy się przebić z tym do mediów. Oni nie byli zainteresowani, aby w jakikolwiek sposób promować nielegalny wówczas związek. Wymyśliliśmy więc podstęp: kiedy pojawiały się kamery, trzymaliśmy ostentacyjnie na wysokości piersi teczkę w wielkim napisem: "Solidarność".

Miller: Strona solidarnościowa co jakiś czas pokazywała, że nie do końca wierzy w nasze dobre intencje, wietrzyli podstęp, podejrzewali, że będziemy chcieli ich oszukać. Tak było w kwestii transmisji telewizyjnych. Oni bardzo pilnowali, żeby mieć tyle samo czasu antenowego co my, a przed kamerą często stawiali z tabliczką "Solidarność" w rękę.

Onyszkiewicz: Mieliśmy mało czasu na wypowiedzi, więc uczyliśmy się ich na pamięć i trzaskaliśmy je do mikrofonów z prędkością karabinu maszynowego.

Miller: Któregoś razu przed takim wejściem na antenę Michnik podszedł do Cioska i powiedział, że powinien mieć dłuższe wejście, bo się jąka i wypowiedź zajmuje mu więcej czasu niż Cioskowi. "Panie Adamie, niech się pan nie martwi, my to jakanie panu powycinamy i dopiero puścimy pańską wypowiedź" - zażartował Ciosek. A Michnik na to: "Ale ludzie nie poznają, że to ja mówię".

Hall: Pamiętam rozmowę z Michnikiem, który był sceptyczny co do tego, że Okrągły Stół coś zmieni. Przekonywał mnie, że dopóki przy władzy jest Jaruzelski, szans na porozumienie nie będzie.

Miller: Przez dłuższy czas ustalenia merytoryczne wyglądały bardzo mgliście, pojawiała się masa przeróżnych pomysłów, wielokrotnie nie bardzo było wiadomo, jaki będzie efekt debat.

Onyszkiewicz: Pamiętam sytuację z udziałem Tadeusza

Mazowieckiego. Przeciwnicy pytają, czy my, Solidarność, jesteśmy za socjalizmem. To było kluczowe pytanie. A on: "Ale o jaki socjalizm chodzi? Czy o ten z czasów stalinowskich, czy ten, jaki panuje w ZSRR, u nas, czy może jeszcze jakiś inny, na przykład szwedzki?". I zamknął im usta. Oni nie potrafili rozmawiać w ten sposób, pewnych słów używali jak wytrychów, nie myśląc o ich znaczeniach. Kiedy się ich przyciskało do muru, okazywało się, że tam poza słowami nic nie ma.

Prawdziwa walka odbywała się przy stoliku, przy którym zasiadali prof. Geremek po jednej stronie, a po drugiej prof. Janusz Reykowski, przewodniczący zespołu ds. reform politycznych. Podziwiałem talenty negocjacyjne Geremka, to, w jaki sposób łagodzi, a potem łamie opór władz. Raz powoływał się na doświadczenia historyczne, innym razem przełamывał pewne mistyfikacje myślowe. Prof. Reykowski był intelektualistą, nie aparaczką. Był bardziej podatny na argumenty, bo nie mógł, jak tarczą, zasłonić się betonową retoryką. I był nam najbardziej przychylny, przekonany do zmian.

Dembowski: Brałem udział w pracach komisji przygotowującej wybory. Spieraliśmy się o termin. Kiszczak się uparł, żeby odbyły się 4 czerwca. Wałęsa nalegał, by były później, bo opozycja nie zdąży się przygotować, zrobić kampanii. To oczywiście przekonało Kiszczaka, żeby nie ustąpić.

Onyszkiewicz: Kombinowali, że wezmą większość mandatów, nam oddadzą mniejszą część. Trochę tak, jak było w ramach tzw. Frontu Jedności Narodu. My się nimi jakoś już podzieliśmy między sobą, a wyborcy, tak jak dotąd bywało, to usankcjonują. Odpowiedzieliśmy: jak chcecie, to się sami między sobą dzielcie. My wolimy poddać się osądowi demokratycznych wyborów. Oni mieli wbudowane takie myślenie: że coś się z góry układa, dzieli, a potem narzuca ludziom.

Bp Dembowski: Pamiętam spotkanie w sprawie kampanii wyborczej. Kiszczak zapowiedział, że oni nie będą zwalczać konkurentów nieeleganckimi zachowaniami - tak jak to robi opozycja. Tymczasem w Warszawie, gdzie o mandat konkurowali Andrzej Łapicki i Jerzy Urban, działali bardzo ostro. PZPR publicznie mówiła, że wybór między Łapickim i Urbanem to wybór między urodą a inteligencją.

Hall: Najtrudniejszym momentem był finał. Wszystko ustalone, zostaje tylko kwestia podpisania protokołu końcowego i ostatnich wystąpień Wałęsy i Kiszczaka, aż tu nagle wyskakuje Miodowicz i mówi, że on nie podpisze.

Onyszkiewicz: I to nie wynikało z merytorycznych zastrzeżeń, tylko z jego rozbuchanych ambicji. Mówił, że nie podpisze, jeśli nie będzie przemawiać jako drugi, po Kiszczaku. A Wałęsa ma mówić na samym końcu. Poczł się urażony na honorze, że traci monopol na związkowców.

Hall: Wszystko zawisło na włosku, wydawało się, że wypracowane porozumienie legnie w gruzach, a my zaczęliśmy podejrzewać, że ten wyskok Miodowicza został z góry ukartowany, że to pomysł Jaruzelskiego.

Onyszkiewicz: To były bardzo nerwowe chwile. Zwłaszcza że i w tamtych czasach polityka była robiona pod dyktando ramówki telewizji: zbliża się pora wieczornego "Dziennika", kamery czekają, a tu nie można powiedzieć, że rozmowy skończyły się sukcesem. Na szczęście jakoś to załagodzono. Pamiętam, interweniował pan Ciosek i jakoś udało się to porozumienie dopchać kolanem.

Hall: Gdy kończyliśmy obrady, mieliśmy poczucie sukcesu: doprowadziliśmy do legalizacji Solidarności. Ale nadchodzące wybory były wielką niewiadomą.

Bp Dembowski: O tym, co się stało przy Okrągłym Stole, świadczy najlepiej scena, którą zobaczyłem po wyborach, 8 czerwca, podczas posiedzenia Komisji Porozumiewawczej. Zobaczyłem zdruzgotanego Kiszczaka, do którego dotarło, że nic, co zaplanował, mu nie wyszło.

Miller: Po wyborach poszedłem do gabinetu premiera Rakowskiego. Byli tam już Kwaśniewski, Sekuła i jeszcze parę

osób. Wszyscy w minorowych nastrojach, przytłoczeni klęską. I w pewnym momencie ktoś powiedział: "Słuchajcie, panowie, w tej sytuacji trzeba rozwiązać PZPR". Te słowa nas przeraziły, ale jednocześnie każdy wiedział, że nie ma innego wyjścia. Choć sztandar został wyprowadzony dopiero siedem miesięcy później, to już wtedy wiedzieliśmy, że to się musi stać.

Onyszkiewicz: Tak, dostaliśmy więcej, niż myśleliśmy, że to możliwe. Ale nie dlatego, że władza łaskawie dała. My sami zdołaliśmy to jej wyrwać z gardła. To była mordercza praca. Pewnego razu mój najstarszy syn Staś, a miał wówczas cztery lata, powiedział do mnie z troską w głosie: Nie martw się tatusiu, jak będę już duży, to razem z tobą będę chodził na obrady tego stołu.

ZWIĄZKOWCY, PORZUĆCIE NADZIEJĘ

Konrad Niklewicz

Gazeta Wyborcza, 7.02.2009

Nie będzie większych ograniczeń w zatrudnianiu cudzoziemców. Ani wprawie unijnym, ani w przepisach polskich. Na odwrót: niedługo Unia jeszcze bardziej otworzy się na obywateli państw trzecich.

Apel OPZZ, by jak najszybciej zamknąć nasze granice przed obywatelami państw nieunijnych, zwłaszcza Białorusinami i Ukraińcami, opisaliśmy w czwartek. -Powinniśmy chronić nasz rynek pracy poprzez ograniczanie możliwości sprowadzania pracowników spoza UE -powiedział nam Jan Guz, szef OPZZ. Tłumaczy, że to konieczne, by na polskim rynku pracy zrobiło się miejsce dla Polaków wracających z emigracji.

Eksperti nie zostawiają suchej nitki na tej propozycji. -To jakiś idiotyzm, związki zawodowe postradały rozum -denerwuje się Maciej Duszczyk z Instytutu Polityki Społecznej UW.

Ostra krytyka związkowych pomysłów nie jest jednak tak naprawdę potrzebna, bo i tak nie ma szans, by ich postulat został spełniony. Także ze względu na nowe przepisy unijne, które wkrótce wejdą w życie.

Na pozór wygląda to na paradoks. Bo gdy we wtorek **Parlament Europejski** głosował nad dyrektywą zaostrzającą kary dla przedsiębiorców nielegalnie zatrudniających obywateli państw nieunijnych, związkowcom mogło się wydawać, że ich postulaty są wysłuchane.

Otóż nie. Nowelizacja dyrektywy o karaniu firm jest tylko fragmentem pakietu przepisów dotyczących imigracji. Równie ważna jest inna dyrektywa, o wprowadzeniu tzw. unijnej błękitnej karty (na wzór amerykańskiej "zielonej") - przyjęta przez Parlament Europejski

w listopadzie 2008r. Ma ona spowodować, że jeszcze łatwiej będzie ściągać do UE fachowców np. z Afryki i Azji. - Przepisy trafiły do Rady UE. Ze względu na zbliżające się wybory europejskie nie wiadomo, kiedy zostaną przyjęte. Spodziewam się, że wejdą w życie w przyszłym roku -mówi "Gazecie" Mikołaj Dowgiewicz, sekretarz stanu ds. europejskich.

Zresztą, jak podkreślają eksperci, przyjazdy Ukraińców i Białorusinów do Polski nie mają wpływu na ewentualne miejsca pracy dla Polaków wracających z Wielkiej Brytanii, Irlandii, Niemiec itp. Bo nie konkurują na rynku pracy. - Z dostępnych pilotażowych badań wynika, że tylko 20 proc. osób powracających z zagranicy wraca do miejscowości, z których wyjechało. Emigranci wracają przede wszystkim do dużych miast, nie wywołują presji na lokalnych rynkach pracy -podkreśla.

Polscy związkowcy mogą się pocieszyć tym, że nie tylko ich pomysły nie zostaną wysłuchane. Także żądanie związkowców (i niektórych polityków) z Europy Zachodniej - by ograniczyć przepływ pracowników także w samej UE - nie będzie

realizowane. Zachodnioeuropejscy działacze związkowi domagali się m.in. zmian w dyrektywie umożliwiającej delegowanie pracowników z jednego państwa UE do drugiego (dziś z tej możliwości korzystają tysiące Polaków, w ten sposób omija się ograniczenia dotyczące pracy na stałe).

Już w środę unijny komisarz ds. pracy Vladimir Szpidla ogłosił, że Komisja Europejska - która ma wyłączność na zgłaszanie nowelizacji prawa - nic w tej sprawie nie zamierza zrobić, a obowiązujące przepisy są dobre.

Zresztą nawet gdyby Komisja zgłosiła propozycję poprawienia dyrektywy, polskiemu rządowi taką propozycję będzie łatwo obalić. - Zmiana prawa wymagałaby większości kwalifikowanej w Radzie UE. Co oznacza, że 91 głosów wystarczy, żeby zmianę zablokować - podkreśla Duszczak. A tyle głosów ma Polska razem z innymi nowymi państwami członkowskimi.

Podobnie uważa minister Dowgiewiecz. -Odpowiedzią na kryzys gospodarczy nie może być rozmontowywanie wspólnego rynku. Nie ma potrzeby nowelizacji dyrektywy o delegowaniu pracowników. Bardzo niewielkie są szanse na zmianę przepisów - mówi. Tym bardziej że na straży swobody przepływu pracowników stoi jeszcze Europejski Trybunał Sprawiedliwości, który wielokrotnie wydawał wyroki w tej sprawie.

Ostatni przepis, który pozwalał rządowi blokować napływ pracowników z innego kraju UE z powodu "kryzysu gospodarczego", wygasł w 1992 r. I od tego czasu nikomu w UE nie udało się go wyjąć z grobu.

ZAGRANICZNI NIE POPRACUJĄ

PAP, 7.02.2009

Farmer.pl, 8.02.2009

Widzimy potrzebę ograniczenia importu pracowników spoza Unii" - powiedział w czwartek na konferencji prasowej przewodniczący OPZZ Jan Guz. Zaznaczył, że "nie dotyczy to jednak specjalistów, ale osób bez kwalifikacji.

"Uważamy, że obcy specjaliści się potrzebni, ale w sytuacji, gdy inne kraje, także europejskie, chronią swój rynek pracy; my też powinniśmy zastanowić się czy nie mamy zbyt łagodnych przepisów pozwalających zatrudniać osoby spoza Unii Europejskiej" - stwierdził Guz. Jego zdaniem "w branżach, w których tracą pracę kolejni Polacy, należy ograniczyć zatrudnienie osób spoza Unii". Wskazał budownictwo, rolnictwo, gospodarstwa domowe.

W ocenie eksperta Polskiej Konfederacji Pracodawców Prywatnych Jeremiego Mordasewicza "ograniczenie napływu pracowników spoza UE będzie można rozważyć w sytuacji, gdyby naprawdę wzrosło bezrobocie; ale nie powinno dotyczyć strategicznych partnerów Polski, np. Ukrainy".

Guz zaznaczył, że "OPZZ nie domaga się zamknięcia granicy np. dla Ukraińców czy Białorusinów".

"I jeszcze jedno - byłoby to możliwe tylko w sytuacji, gdyby okazało się, że Polacy chcą wykonywać pracę, którą dotychczas wykonywali obcokrajowcy - np. prace w rolnictwie czy na budowie" - powiedział Mordasewicz.

Tymczasem według szefowej resortu pracy i polityki społecznej, minister Jolanty Fedak "nasze przepisy nie otwierają nadmiernie polskiego rynku na pracowników spoza Unii".

"W ubiegłym roku, na prośbę pracodawców, przedłużono okres przebywania w Polsce bez zezwolenia na pracę do pół roku, ale to była jedyna taka zmiana" - przypomniała w czwartek minister, dodając, że "inne dotyczyły wyłącznie problemów administracyjnych, które utrudniały życie przedsiębiorcom zatrudniającym cudzoziemców".

UE planuje zaostrzenie sankcji, w tym karnych za

zatrudnianie nielegalnych pracowników spoza Unii. Propozycję nowej dyrektywy w tej sprawie przyjął w środę Parlament Europejski. Dyrektywa ma harmonizować system obowiązujących na terenie całej UE sankcji administracyjnych, finansowych, a nawet karnych.

LUDZIE MOGĄ TEGO NIE WYTRZYMAĆ

Rozmawiali: Piotr Miączyński; Leszek Kostrzewski
Gazeta Wyborcza, 9.02.2009

Żaden przedsiębiorca w Polsce nie oświadczył, tak jak się to dzieje w Stanach Zjednoczonych, że będzie pracował za symbolicznego dolara czy złotówkę. A od pracowników wymaga się zgody na niższe pensje - mówi Jan Guz, przewodniczący OPZZ

Piotr Miączyński; Leszek Kostrzewski: Z którym rządem panu się najlepiej współpracowało?

Jan Guz, przewodniczący OPZZ: Żaden z rządów nie spełniał deklaracji z kampanii wyborczych. Bez znaczenia czy były prawicowe, czy lewicowe.

Taki urok polityków

- I dlatego mamy do nich ograniczone zaufanie.

Na kogo pan głosował w ostatnich wyborach?

- Na program lewicy. Lewica jest wrażliwsza na sprawy społeczne.

Kiedy kłamliwa maska SLD opadła i wielu ludziom pracy, którzy po raz kolejny zawierzyli w lewicowy charakter SLD, okazała się tylko szpetna paszcza "lewicowych" pomagierów liberalnego PO i PSL, sondaże powróciły do "naturalnego" kształtu. Aż dziw bierze że aż 6 proc. ludzi chce jeszcze głosować na SLD". Wie pan skąd ten cytat?

- Nie.

Ze strony internetowej OPZZ.

- Nasza strona jest otwarta na wszystkie problemy naszych członków. Jakiś związkowiec widać się zdenerwował.

Pan też się wtedy zdenerwował. Sojusz poparł rządowe cięcia emerytur dla 900 tys. Polaków: hutników, części kolejarzy w zamian za prawo do pomostówek dla nauczycieli. Prosiłście SLD, aby tego nie robił.

- Moim zdaniem można było więcej w tej sprawie osiągnąć - i dla pracowników przemysłu i nauczycieli. Klub Lewicy nie wytrzymał nerwowo szantażu PO i o to mam pretensję.

Znów ze strony internetowej OPZZ - z zadowoleniem przyjęliście weto prezydenta do innej rządowej ustawy emerytalnej mianowicie emerytur kapitałowych z OFE. Wcześniej chwaliłście Lecha Kaczyńskiego, gdy wetował pomostówki. PiS i prezydent jest dziś bardziej lewicowe niż SLD?

- Nigdy nie wątpiłem, że w programie PiS są wartości społeczne, mimo że PiS uważa się za partię prawicową.

Będziecie współpracować?

- Będziemy współpracować z każdym, kto będzie miał na celu dobro pracownika.

Pan jest bardzo dyplomatyczny. W ostatnich miesiącach, ile razy spotykał się pan z prezydentem lub prezesem PiS?

- Dwa, trzy razy. Chciałem się też spotkać z klubem PO, z premierem Donaldem Tuskiem. Ale odmówili.

Dlaczego?

- Proszę ich pytać. Pewnie nie lubią OPZZ. Nie ukrywajmy: związki zawodowe nie są wygodne dla liberalnego rządu. Nie sądzę aby, pomimo naszych najlepszych chęci, dobrze nam się współpracowało z PO.

W Komisji Trójstronnej też jakoś nie możecie się dogadać. Nie tylko z PO. Z pracodawcami również.

- OPZZ zawsze było nastawione na dialog. W Komisji Trójstronnej chcemy wspólnie z pracodawcami wypracować pakiet antykrzysowy. Ale kiedy dochodzi do szczegółów, to pracodawcy chcą rozmawiać tylko o nowelizacji prawa pracy.

Miesiąc temu mówił pan, że dla związków najważniejsze w kryzysie będzie utrzymanie miejsc pracy.

- Oczywiście. Zawsze tak było.

Mówił pan również, że związki nie są samobójcami. Jeśli trzeba będzie, to dla ratowania miejsc pracy zrezygnujecie z podwyżek, zgodzicie się na dłuższe urlopy. Teraz OPZZ zaostriż kurs. Doły związkowe panu pogroziły?

- Gdy mówiłem tamte słowa, chodziło mi o porozumienia związkowców z właścicielami firm w konkretnych zagrożonych zakładach. Zapominamy o jednej rzeczy. Nie w całej Polsce jest kryzys. Owszem problemy ma przemysł, np.: branża motoryzacyjna, stalowa, meblarska, itd. Ale na przykład już w handlu kryzysu nie ma - powstają nowe miejsca pracy.

O ustępstwach ze strony związków możemy mówić w tych zakładach gdzie jest naprawdę ciężko. I to związkowcy w konkretnym zakładzie muszą szukać porozumienia z pracodawcą - co robić, by nie było zwolnień. Natomiast na systemowe zmiany we wszystkich zakładach zgody nie ma.

A jaka jest wasza recepta na kryzys?

- Po pierwsze, w czasach kryzysu państwo musi dbać o inwestycje. W budżecie powinny znaleźć się pieniądze na roboty publiczne i zamówienia publiczne. W ten sposób przedsiębiorcy zyskają kontrakty, a pracownicy pracę. Po drugie, należy chronić konsumpcję. Muszą rosnać płace w gospodarce, w tym minimalne wynagrodzenie oraz emerytury i renty. Jeśli konsumpcja ma rosnać, to ludzie muszą mieć pieniądze na wydatki. Pamiętajmy, że połowa polskich rodzin nie ma żadnych oszczędności, więc nie ma pieniędzy na zakupy. Po trzecie trzeba gruntownie przebudować system podatku PIT i obniżyć podatki, w tym podatek VAT na żywność.

Nie zapominamy także o pracodawcach. Popieramy ich postulat, by rząd zwiększył gwarancje kredytowe, poprawił prawne otoczenie funkcjonowania firm, zmniejszył mitręgę biurokratyczną.

Firma nie ma zamówień, a pan chce aby podnosiła pensję?

- Domagamy się, by ciężar kryzysu był równomiernie rozłożony. Nie tylko na pracownika, ale też na pracodawcę. Żaden przedsiębiorca w Polsce nie oświadczył, tak jak się to dzieje w Stanach Zjednoczonych, że będzie pracował za symbolicznego dolara czy złotówkę. A od pracowników wymaga się zgody na niższe pensje.

OPZZ nie zrezygnuje z podwyżki płacy minimalnej docelowo do wysokości połowy średniego wynagrodzenia. Chcemy, aby rząd zrealizował zalecenia MOP i Rady Europy.

Skąd brać na podwyżki płacy minimalnej?

- Z tego samego źródła co podwyżki dla zarządzających firmami, czyli funduszu wynagrodzeń. Rząd nie ukrywa, że dostrzega potrzebę podniesienia płac menedżerom w ramach tzw. ustawy kominowej. My mówimy: podnieśmy płacę minimalną. Wszyscy krzyczą, że nie można.

Poza tym rośnie poziom depozytów odkładanych w bankach. Firmy nie inwestują, tylko trzymają pieniądze na kontach. 11 proc. pracowników nie jest w stanie utrzymać swojej rodziny za to, co zarabia. Bo jak za 900 zł zapłacić co miesiąc za mieszkanie łącznie z gazem, telefonem, światłem?

Nie boi się pan jednak, że podwyżka płacy minimalnej, zamiast pomóc, zaszkodzi pracownikom? Pracodawcy będą zatrudniać ludzi na czarno.

- Szara strefa już dziś jest za duża. Zatrudnianie pracowników na czarno nie jest etyczne i jest niezgodne z prawem. Są poważne prace badawcze, które dowodzą, że wzrost płacy

minimalnej nie wpływa negatywnie na gospodarkę, przedsiębiorstwa i poziom bezrobocia.

A może być jeszcze wyższa, jeśli zwiększymy pensję minimalną

- To, co chcą panowie powiedzieć, że pracownik powinien pracować w obozach pracy za kromkę chleba? Uważamy, że podwyżka płacy minimalnej nie zachwieje przedsiębiorstwami. A wręcz przeciwnie, pomoże gospodarce w chwili kryzysu. Dodatkowo chcemy też obniżki podatków PIT dla najniżej zarabiających.

Dziś Polacy w zależności od dochodów płacą 18 lub 32 proc. Pan chce stworzyć jeszcze jedną próg dla najniżej zarabiających?

- Tak.

Ile miałby wynosić?

- Trzecia stawka podatkowa powinna być skierowana do osób o najniższych dochodach - dla zwiększenia konsumpcji. Ale to wymaga jeszcze rozmów z ekspertami nad całym systemem podatkowym.

"Solidarność" mówi o obniżce podatku VAT. Co pan sądzi na ten temat?

- To właściwy kierunek.

Ale rząd szuka sposobów na 17 mld zł na oszczędności. Skąd ma je wziąć?

- Ja nie jestem w rządzie.

Ale jakiś pogląd pan ma.

- A dlaczego ja mam wyręczać tych, którzy biorą duże pieniądze za rządzenie? Mam bronić pracowników. To jest rola związków. A o naszej receptce na kryzys już mówiłem.

A jak rząd będzie chciał oszczędzać na tych, których pan broni?

- Wydatki socjalne nie są ograniczane w Europie w czasie kryzysu. Wręcz odwrotnie. W Polsce powinno być podobnie, przecież jesteśmy członkami UE.

Związki chcą zwiększyć w kryzysie deficyt?

- To konieczne. Inna polityka tylko pogłębi kryzys w Polsce.

Jest pan za tym, by państwo pompowało publiczne pieniądze do firm, które mają teraz kłopoty?

- Zawsze mówimy, że to przedsiębiorcy ponoszą odpowiedzialność za zarządzanie firmą. Jeśli ma to chronić ludzi przed zwolnieniami i podnieść efektywność przedsiębiorstwa - to tak. Powinny być na to wykorzystane środki z Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych, Funduszu Pracy. Na restrukturyzację firm powinny iść również pieniądze unijne. Inaczej te firmy będą zwalniać pracowników. Pamiętajmy, że pracownik zawsze jest w gorszej sytuacji niż przedsiębiorca i w czasie kryzysu należy mu pomóc.

Co w kryzysie trzeba robić, aby utrzymać miejsca pracy?

- Potrzebne są państwowe i samorządowe zlecenia na roboty publiczne, budujemy np. drogi, stadiony, mieszkania dla najuboższych. Tu nie ma nic do wymyślenia. Przyjrzyjmy się, co robią nasi sąsiedzi. Inwestują w infrastrukturę. A Polska dodatkowo musi wykonać wielkie inwestycje z tytułu Euro 2012.

A zmiana kodeksu pracy? Pracodawcy tego chcą.

- Żadna proponowana przez pracodawców nowelizacja kodeksu pracy, jak dotychczas nie poprawiła sytuacji na rynku pracy. Propozycje pracodawców, aby wprowadzić elastyczny czas pracy, są zgłaszane od wielu lat, czyli jeszcze w latach, gdy nie było kryzysu. Teraz pracodawcy wykorzystują kryzys, aby przeprowadzić swoje postulaty.

A dlaczego ten elastyczny czas pracy wam się nie podoba? Pracodawcy chcą wprowadzenia prostej zasady, jeśli pracy jest w zakładzie więcej, pracownik pracuje dłużej, jeśli nie ma pracy, nie pracuje. A i tak w jednej, i drugiej sytuacji dostaje pieniądze.

- Takie rozwiązanie psuje politykę prorodzinną. Już emigracja stworzyła kategorię sierot społecznych, pracodawcy chcą to pogłębić. Jeśli będą pracować przez miesiąc po 13 godzin na

dobę, to jak ja mam zadbać o rodzinę?

Ale w innym momencie, gdy będzie mniej zamówień będzie pan pracował tylko 6 godz.

- Taka jedna zmiana psuje cały system.

Jaki system?

- System pracy. Taka zmiana jest po prostu niekorzystna dla pracowników, dla pracodawców zresztą też.

Ekonomiści coraz częściej mówią, że nasza gospodarka prawdziwe kłopoty może mieć, jeśli do kraju zaczną wracać emigranci. Wtedy dopiero zaczną się bardzo duże problemy z bezrobociem.

- Na pewno powroty Polaków zza granicy będą oddziaływać na rynek pracy. Dlatego uważamy, że powinniśmy zacząć chronić nasz rynek pracy poprzez ograniczenie możliwości sprowadzania pracowników spoza UE. Dziś otworzyliśmy za bardzo granice.

Chce pan je zamknąć dla imigrantów?

- Nie zamknąć, ale ograniczyć imigrację tylko do wysokiej klasy specjalistów.

Teraz przyjeżdżają sprzątaczkę, opiekunki dla dzieci, robotnicy budowlani?

- Bo dwa miliony Polaków wyjechało do UE. Teraz sami zauważacie, że sytuacja się zmieniła. Trzeba też dodać, że państwo polskie nie ma konkretnego planu dla osób powracających z zagranicy.

A co z wprowadzeniem euro? Rząd twierdzi, że gdybyśmy się na to zdecydowali wcześniej, nasze firmy miałyby dziś mniejsze problemy.

- Zaskoczę panów. Jestem pozytywnie nastawiony do wprowadzenia euro.

Faktycznie. Zaskoczył nas pan.

- Kiedy jestem na naradach europejskich związkowców i słyszę ich narzekania, że u nich niektórzy ludzie muszą żyć za tysiąc euro, to ja się śmieję i pytam: co byście powiedzieli, jakbyście mieli przeżyć za 300 euro? Tak jak jest w Polsce?

Z euro nie będzie dumpingu socjalnego, będzie łatwo porównać pensję osób pracujących w jednej firmie w różnych krajach Unii. Można będzie dokładnie porównać ceny w sklepach Polsce i np. w Niemczech. Bo teraz pensję mamy najniższe, a ceny najwyższe.

Dajecie jakiś czas rządowi na poparcie swoich postulatów

- Protest jest ostatecznością. W społeczeństwie coś się jednak kumuluje. W poprzednich kryzysach był lepszy dostęp do rent, emerytur, zasiłków. Dziś tego nie ma, a rząd kolejne grupy pozbawia praw do emerytur. Ludzie mogą tego nie wytrzymać.

OPZZ ZA EURO, PiS W SZOKU

Leszek Kostrzewski; Piotr Miączyński

Gazeta Wyborcza.pl, 9.02.2009

Związki zawodowe pod wpływem kryzysu chcą szybkiego wprowadzenia euro. Największy przeciwnik - PiS, jest w szoku.

- Zaskoczę panów. Jestem pozytywnie nastawiony do wprowadzenia euro - mówi Jan Guz, szef OPZZ.

OPZZ to jedna z najpotężniejszych central związkowych w naszym kraju. Zreszta blisko milion pracowników.

- Gdy na naradach europejskich związkowców słyszę ich narzekania, że niektórzy ludzie muszą żyć za tysiąc euro, to śmieję się i pytam: co byście powiedzieli, gdybyście mieli przeżyć za 300 euro. Tak jak jest w Polsce - opowiada przewodniczący.

Guz tak tłumaczy swój entuzjazm dla europejskiej waluty: - Z euro nie będzie dumpingu socjalnego, łatwo będzie porównać

pensje osób pracujących w jednej firmie w różnych krajach Unii.

Wprowadzenie euro oznacza jego zdaniem także łatwe porównywanie cen żywności. Dziś europejskie koncerny nie chcą płacić Polakom tyle, ile pracownikom w Niemczech czy Francji, bo tłumaczą, że w Polsce są niższe koszty utrzymania. Euro zdaniem związkowca wyträci koncernom ten argument. I pensje polskich pracowników zaczną rosnąć do zachodniego poziomu. - Bo teraz pensje mamy najniższe, a ceny najwyższe - kończy Jan Guz.

- Argumenty OPZZ psychologicznie są jak najbardziej słuszne. Europejskie związki nie wiedzą, jak ciężko jest w Polsce. Gdyby wiedziały, może by nas inaczej traktowały. Doceniały. Zwykły pracownik w Anglii czy Szwecji nie przelicza przecież pensji Polaków ze złotych na wspólną walutę - twierdzi Janusz Łaznowski, członek Komisji Trójstronnej z NSZZ "Solidarność". - Chcemy rozmawiać z rządem o wprowadzeniu euro. Ta kwestia jest cały omawiana na zarządach "Solidarności". Od tematu nie uciekniemy - dodaje.

Deklaracje związkowców są o tyle zaskakujące, że do tej pory związki zawodowe o wprowadzeniu euro się nie wypowiadały, a jeżeli już, to raczej negatywnie.

Bo euro do niedawna budziło w związkowcach strach, umiejętnie podsycany przez polityków. Szef PiS Jarosław Kaczyński w grudniu podczas spotkania z mieszkańcami Gorzowa Wielkopolskiego mówił tak: - Ci, którzy dziś chcą wprowadzić w Polsce euro, cokolwiek stracili kontakt z rzeczywistością, by nie powiedzieć, że oszaleli.

Wcześniej prezes PiS przekonywał, że na wprowadzeniu euro stracą emeryci - średnio ponad 200 zł miesięcznie. Nie powiedział, skąd wziętą taką liczbę.

Z kolei powołani w czwartek przez prezydenta nowi doradcy ekonomiczni Ryszard Bugaj i Adam Glapiński już na pierwszej konferencji prasowej stwierdzili: - Euro możemy przyjąć nie wcześniej niż w 2015 r. i nie później niż w 2020 r.

Nagła zmiana frontu przez związkowców nie dziwi Krzysztofa Rybińskiego, partnera w firmie doradczej Ernst & Young, byłego wiceprezesa NBP. Jego zdaniem związkowcy zaczynają rozumieć prostą zależność: skoro **wprowadzenie euro** jest dobre dla polskich firm, to jest również dobre dla zatrudnionych w tych firmach ludzi.

- Szefowie central powinni wystąpić do swoich członków z apelem: "Nie bójcie się euro, nasi koledzy na Zachodzie je wprowadzili i żyją, nie żałują tego. My też nie będziemy - przekonuje prof. Genowefa Grabowska, poseł do Parlamentu Europejskiego z ramienia Socjaldemokracji Polskiej.

- Jeśli rząd myśli o wprowadzeniu euro, musi porozumieć się ze związkowcami - dodaje Wiktor Wojciechowski z fundacji FOR. I tłumaczy: - Poparcie związkowców przełoży się na polityków. Solidarność to zaplecze PiS, OPZZ - lewicy. Jeśli związki powiedzą wprowadzajmy euro, partie nie będą miały wyboru i zagłosują za.

Poparciem euro przez związkowców zdziwiony jest PiS. - Związki zawodowe w sytuacji, gdy miejsca pracy są zagrożone, mogą myśleć, że wprowadzenie euro nagle poprawi sytuację. Ale czy kraje, które mają euro, uniknęły kryzysu? - Nie - mówi Aleksandra Natalii Świat, poseł PiS, główny strateg ekonomiczny partii.

Przed hurraoptymizmem przestrzega Wiktor Wojciechowski. - Na razie związkowcy, deklarując chęć prowadzenia euro, sami sobie zaprzeczają. Aby wprowadzić wspólną walutę, trzeba mieć zdrową gospodarkę, odpuścić sobie podwyżki płacy minimalnej. Związki z takich postulatów nie zrezygnują - twierdzi Wojciechowski.

Większym optymistą jest Krzysztof Rybiński, który zachęca rząd i związki do zawarcia umowy społecznej na rzecz wejścia Polski do strefy euro. Podobne przypadki w Europie już były. - Na przykład w Grecji zawarto dzentelmeńskie porozumienie, w ramach którego związki zawodowe ograniczyły na pewien czas

żądania płacowe, co pomogło w spełnieniu kryterium inflacyjnego. Mam nadzieję na równie odpowiedzialne i merytoryczne podejście naszych związków zawodowych - twierdzi Rybiński.

OPZZ POPIERA WPROWADZENIE EURO!

red.

Gazeta Wyborcza, 9.02.2009

- Jestem pozytywnie nastawiony do wprowadzenia euro w Polsce - taką zaskakującą deklarację złożył "Gazecie" Jan Guz, przewodniczący OPZZ

Szef związku zrzeszającego blisko milion pracowników przekonuje, że euro wytrąci z ręki zachodnim pracodawcom argument przeciwko podwyżkom płac dla polskich pracowników.

- Dziś nie chcą płacić więcej, bo twierdzą, że koszty utrzymania w Polsce są niższe niż na Zachodzie. A prawda jest taka, że pensje mamy najniższe, a ceny najwyższe - mówi Guz. Jego zdaniem po zastąpieniu złotego euro łatwo będzie porównywać płace oraz ceny z tymi na Zachodzie i płace polskich pracowników zaczną rosnać.

- Chcemy rozmawiać z rządem o wprowadzeniu euro. Od tematu nie uciekniemy - twierdzi Janusz Łaznowski, członek Komisji Trójstronnej z NSZZ "Solidarność".

PiS, główny przeciwnik szybkiego wprowadzenia euro w Polsce, jest w szoku. Wiktor Wojciechowski z fundacji Balcerowicza FOR: - "Solidarność" to zaplecze PiS, OPZZ - lewicy. Jeśli związki powiedzą wprowadzamy euro, partie nie będą miały wyboru i zagłosują za.

SZEF OPZZ JEST ZA EURO

Puls Biznesu, 9.02.2009

Mamy dobrą wiadomość dla euroentuzjastów. Szef OPZZ jest za wprowadzeniem euro. I to by było na tyle, jeśli chodzi o dobre wieści dla biznesu...

„Zaskoczę Panów. Jestem pozytywnie nastawiony do wprowadzenia euro” – tak obwieścił na łamach „Gazety Wyborczej” Jan Guz, przewodniczący Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych. I to z czysto lewicowych powodów.

- Z euro nie będzie dumpingu socjalnego, będzie łatwo porównać pensje osób pracujących w jednej firmie w różnych krajach Unii. Można będzie dokładnie porównywać ceny w sklepach w Polsce i np. w Niemczech. Bo teraz pensje mamy najniższe, a ceny najwyższe – tłumaczy w „GW” Jan Guz.

Szef OPZZ w czasach kryzysu nie chce dawać firmom taryfy ulgowej. Związek powie więc „nie” nowelizacji kodeksu pracy.

- Zapominamy o jednej rzeczy. Nie w całej Polsce jest kryzys (...). O ustępstwach ze strony związków możemy mówić w tych zakładach, gdzie jest naprawdę ciężko. Natomiast na systemowe zmiany we wszystkich zakładach nie ma zgody – mówi Jan Guz.

OPZZ ma „związkową” receptę na kryzys. Sprowadza się do wzrostu płac (także zwiększenia pensji minimalnej), zwiększenia nakładów publicznych na inwestycje, obniżenia VAT i wprowadzenia jeszcze jednej stawki podatkowej dla najmniej zarabiających.

- Wydatki socjalne nie są ograniczane w Europie w czasie

kryzysu. Wręcz odwrotnie. W Polsce powinno być podobnie, przecież jesteśmy członkami UE – kwituje Jan Guz.

ZWIĄZKI ZAWODOWE CHCĄ WPROWADZENIA EURO

Gazeta Wyborcza, 9.02.2009

Wirtualny nowy przemysł, 9.02.2009

Związki zawodowe pod wpływem kryzysu chcą szybkiego wprowadzenia euro. Taką deklarację złożył w rozmowie z "Gazetą Wyborczą" Jan Guz, szef OPZZ, jednej z najpotężniejszych central związkowych w naszym kraju, zrzeszającej blisko milion pracowników.

- Z euro nie będzie dumpingu socjalnego, łatwo będzie porównać pensję osób pracujących w jednej firmie w różnych krajach Unii - tłumaczy w dzienniku swój entuzjazm dla europejskiej waluty Jan Guz.

Wprowadzenie euro oznacza jego zdaniem także łatwe porównywanie cen żywności. Dziś europejskie koncerny nie chcą płacić Polakom tyle, ile pracownikom w Niemczech czy Francji, bo tłumaczą, że w Polsce są niższe koszty utrzymania. Euro - zdaniem związkowca - wytrąci koncernom ten argument. I pensje polskich pracowników zaczną rosnać do zachodniego poziomu. - Bo teraz pensje mamy najniższe, a ceny najwyższe - mówi Jan Guz.

- Argumenty OPZZ psychologicznie są jak najbardziej słuszne. Europejskie związki nie wiedzą, jak ciężko jest w Polsce. Gdyby wiedziały, może by nas inaczej traktowały. Doceniły. Zwykły pracownik w Anglii czy Szwecji nie przelicza przecież pensji Polaków ze złotych na wspólną walutę - twierdzi w "GW" Janusz Łaznowski, członek Komisji Trójstronnej z NSZZ "Solidarność". - Chcemy rozmawiać z rządem o wprowadzeniu euro. Ta kwestia jest cały omawiana na zarządach "Solidarności". Od tematu nie uciekniemy - dodaje.

ZWIĄZKI CHCĄ LEPSZEJ OCHRONY PRZED ZWOLNIENIAMI

Łukasz Guza

Gazeta Prawna, 9.02.2009

Umowa o pracę na czas określony ma trwać maksymalnie pół roku. Bezprawnie zwalniany pracownik otrzyma wyższe odszkodowanie. Takich zmian w kodeksie pracy chcą związki zawodowe.

Przedstawiciele organizacji pracodawców i związków zawodowych mają jutro spotkać się i podjąć rozmowy w sprawie wspólnego projektu działań antykryzysowych w stosunkach pracy. Obie strony mają przedstawić ujednoczone stanowiska w tej sprawie. Rząd przedstawił im już m.in. propozycję wydłużenia okresów rozliczeniowych oraz możliwości wprowadzenia tzw. kont czasu pracy.

- Będziemy nadal prowadzić dyskusję na ten temat. Nasze wątpliwości budzą przede wszystkim propozycje uelastycznienia czasu pracy - mówi Jan Guz, przewodniczący OPZZ.

- Możliwość dowolnego skracania i wydłużenia czasu pracy godzi w życie rodzinne pracowników - tłumaczy Wiesław Siewierski, przewodniczący Forum Związków Zawodowych.

Zdaniem OPZZ, uelastycznienie czasu pracy powinno być wprowadzane wyłącznie na podstawie układów zbiorowych i

dotyczyć tylko pracowników zatrudnionych na czas nieokreślony. Według NSZZ Solidarność tylko tych pracowników mogłaby dotyczyć propozycja wydłużenia do 12 miesięcy okresów rozliczeniowych czasu pracy.

- Dzięki takiemu rozwiązaniu pracodawcy mogą po prostu zaoszczędzić na godzinach nadliczbowych. Z powodu kryzysu niektórych branż lub firm nie można nagle wprowadzać ułatwień dla wszystkich pracodawców - mówi Janusz Łaznowski, członek Prezydium Komisji Krajowej NSZZ Solidarność ds. prawa pracy.

Zdaniem związkowców w okresie kryzysu konieczne jest zapewnienie większej stabilności zatrudnienia. Dlatego chcą m.in. wprowadzenia zasady, że bez względu na liczbę zawartych terminowych umów o pracę po 18 miesiącach od zawarcia pierwszej z nich pracownik będzie zatrudniony już na czas nieokreślony. Z tego względu NSZZ Solidarność proponuje, aby osoby zatrudnione na podstawie umów terminowych miały taki sam status jak pracujący na stałe (obecnie łatwiej jest rozwiązać umowę terminową).

- Chcemy też, aby tzw. porozumienia lub pakiety socjalne zawierane między pracodawcami i przedstawicielami pracowników były źródłem prawa pracy - dodaje Jan Guz.

OPZZ proponuje też, aby prawo do zrzeszania się w związki zawodowe mieli nie tylko pracownicy, ale też zatrudnieni na innej podstawie (np. umowy cywilnoprawnej oraz tzw. samozatrudnieni). Domaga się także podwyższenia kar odszkodowań za bezprawne zwolnienie z pracy.

OKRĄGŁY STÓŁ - NIEZBĘDNIK

Adam Leszczyński

Gazeta Wyborcza, 9.02.2009

Okragły Stół obradował od 6 lutego do 5 kwietnia 1989 r. Przy ogromnym stole 57 delegatów z dwóch stron politycznego sporu - władzy i opozycji - zasiadło tylko dwa razy: pierwszego i ostatniego dnia.

Jak do niego doszło?

"W pierwszych miesiącach 1988 r. nie wydarzyło się nic, co by zapowiadało głębokość przyszłych zmian" - pisał historyk, prof. Andrzej Friszke.

W styczniu 1988 r. władze przestały zagłuszać nadające z Zachodu po polsku stacje - „Wolną Europę” i „Głos Ameryki”. Od stycznia trwały także poufne, sondażowe rozmowy pomiędzy sekretarzami KC Józefem Czyrką i Stanisławem Cioskiem a Andrzejem Wielowieyskim i Andrzejem Stelmachowskim, wówczas czołowymi działaczami Klubu Inteligencji Katolickiej. Niewiele z nich jednak wynikało.

W lutym sensację wywołał wywiad z Bronisławem Geremekiem, który zamieścił nowy (bo wychodzący dopiero od stycznia '88) miesięcznik „Konfrontacje”. Wcześniej Geremek - jako jeden z najbardziej znanych opozycjonistów - mógł się wypowiadać tylko w prasie podziemnej. Geremek mówił o systemowym kryzysie gospodarczym i sugerował, że jedyne wyjście z sytuacji leży w powrocie do ducha porozumień „Solidarność” z władzą z sierpnia 1980 r. (czyli, realnie, otwarciu władzy na rozmowy z opozycją). Władze nie zareagowały na tak wysuniętą propozycję.

26 kwietnia rozpoczął się strajk w Nowej Hucie, a 2 maja - w Stoczni Gdańskiej. Na posiedzeniu Sekretariatu KC **29 kwietnia** gen. Jaruzelski, ówczesny I sekretarz KC PZPR i przewodniczący rady Państwa - po długiej dyskusji - uznał rozmowę z Wałęsą za możliwą, jednak pod warunkiem zakończenia strajków. Mimo to **5 maja** ZOMO brutalnie stłumiło strajk w Nowej Hucie. Strajki były znacznie słabsze niż w 1980 r., z wielu zakładów płynęły informacje o nastrojach zniechęcenia i apatii wśród robotników,

ale władze potraktowały to jako groźny sygnał zbliżającego się wybuchu.

Niewiele później - **16 maja** - w wywiadzie dla „Trybuny Ludu” Józef Czyrek, sekretarz KC, odpowiedział pozytywnie na propozycję Geremka z wywiadu udzielonego „Konfrontacjom”: mówił o „porozumieniu społecznym” i powstaniu „koalicji proreformatorskiej”.

Władze wysyłały opozycji sprzeczne sygnały. **W czerwcu 1988 r.** przeprowadzono „wybory” do rad narodowych (czyli władz lokalnych w PRL). Wybory nie były demokratyczne i zostały powszechnie zbojkotowane - poszło do nich, według najbardziej optymistycznych dla władzy danych, tylko 55 proc. Polaków.

15 sierpnia na Śląsku i Wybrzeżu rozpoczęła się kolejna fala strajków. Przyspieszyła ona nieoficjalne negocjacje opozycji z władzą: **19 sierpnia** w czasie rozmów Stelmachowskiego z Czyrką padła propozycja, żeby władze dokonały spektakularnego gestu - i zgodziły się na oficjalne, polityczne rozmowy z Wałęsą (uznawanym wówczas za niekwestionowanego przywódcę opozycji). Po licznych naradach i konsultacjach **31 sierpnia** doszło do spotkania gen. Kiszczaka, ministra spraw wewnętrznych, z Wałęsą. Wałęsa wezwał do zakończenia strajków; władza zapłaciła za to zobowiązaniem do podjęcia rozmów z opozycją, m.in. w sprawie legalizacji „Solidarność”.

Od września w trakcie rozmów - prowadzonych m.in. w podwarszawskiej Magdalence - ustalano szczegóły. Najważniejszym punktem sporu była kwestia legalizacji „Solidarność”: dla przedstawicieli opozycji był to warunek porozumienia, dla władzy - sprawa do negocjacji. Ustalono m.in., że przy Okragłym Stole zasiadzie 50-70 osób. Doszło do impasu w rozmowach, kiedy przedstawiciele władzy nie zgodzili się na udział Jacka Kuronia i Adama Michnika - od lat 60. dwóch najbardziej znanych opozycjonistów w PRL i rytualnych „wrogów ustroju” w oficjalnej prasie.

W październiku 1988 r. mogło się wydawać, że władze się rozmyśliły. **14 października** premier Mieczysław Rakowski powiedział na konferencji prasowej, że Polaków „bardziej interesuje stół suto zastawiony”. Pod koniec miesiąca wydano - odebraną powszechnie jako policzek dla opozycji - decyzję o postawieniu w stan likwidacji Stoczni Gdańskiej.

Rozmowy wznowiono **w listopadzie** dzięki mediacji Kościoła - zwłaszcza arcybiskupa Dąbrowskiego, biskupa (dziś arcybiskupa) Gołowskiego oraz ks. Antoniego Orszulika (dziś biskupa). **30 listopada doszło** - z inicjatywy Alfreda Miodowicza, szefa OPZZ, podporządkowanych władzom związków zawodowych - do telewizyjnej debaty pomiędzy nim a Wałęsą. Miodowicz został zmiażdżony przez Wałęsę - w sondażach tylko 1 proc. Polaków uznało, że wygrał debatę.

Od grudnia opozycja i władze przygotowywały się do negocjacji. **W połowie grudnia** powstał Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie, do którego weszli m.in. przedstawiciele inteligencji, doradcy „Solidarność” i działacze związkowi. Przygotowywano postulaty do rozmów przy Okragłym Stole. Cały czas trwały także rozmowy pomiędzy działaczami opozycji i przedstawicielami władz - z udziałem Kościoła. Czas naglił, bo gospodarka PRL szła w dół jak kamień.

16-17 stycznia 1989 r., na X Plenum KC PZPR, partia - mimo silnego sprzeciwu „betonu” - oficjalnie zaakceptowała „pluralizm polityczny i związkowy” oraz włączenie opozycji do systemu politycznego. **20-21 stycznia** odbyło się posiedzenie Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarność”, na którym zdecydowano się ostatecznie przystąpić do rozmów.

Jak rozmawiano?

Rozmowy toczyły się w mniejszych grupach. Powołano trzy zespoły tematyczne („stoliki”): gospodarki i polityki społecznej (przewodniczący: Władysław Baka i Witold Trzeciakowski), pluralizmu związkowego (**Aleksander Kwaśniewski, Tadeusz**

Mazowiecki i Romuald Sosnowski) oraz reform politycznych (Janusz Reykowski i **Bronisław Geremek**). O szczegóły spierano się w 12 "podstolikach" i kilkunastu grupach roboczych. Łącznie prawie 350 osób.

Negocjatorzy dość szybko doszli do wspólnych ustaleń, które zwykle sprowadzały się do tego, że strony dzieli zasadnicza różnica zapisywana w "odrębnych stanowiskach". Gdy rozmowy grzęzły w martwym punkcie, główni negocjatorzy podejmowali decyzję polityczną. Impas przełamano podczas spotkania w mniejszym gronie w Magdalence.

W marcu było już jasne, że rozmowy zakończą się sukcesem opozycji - władze ustępowały w zasadniczych kwestiach (m.in. rejestracji "Solidarności" oraz swobodnej rejestracji stowarzyszeń, które były głównym celem opozycji).

Najważniejsze jak się okazało była nie zgoda na relegalizacja "Solidarności" ale zgoda na częściowo demokratyczne wybory do Sejmu i wolne wybory do Senatu.

Porozumienie

...podpisano 5 kwietnia 1989 r. Uzyskano zapisy, które jeszcze kilka miesięcy wcześniej trudno było sobie wyobrazić, m.in.:

- legalizację "Solidarności" (w tym także rolniczej), i to bez okresu przejściowego, który w trakcie negocjacji proponowała władza;
- uzgodniono, że odbędą się wolne wybory na 35 proc. miejsc w Sejmie;
- zapowiedziano utworzenie Senatu, do którego wybory miały już być wolne całkowicie;
- nie ułożono wspólnej deklaracji wyborczej opozycji i władz do Sejmu (o co zabiegały władze), a przedstawiciele opozycji nie weszli wspólnie z przedstawicielami PZPR na listę krajową w wyborach do Sejmu (na czym również zależało władzom);
- poszerzono wolność słowa i dźwięku (choć na pełne zniesienie cenzury trzeba będzie jeszcze trochę poczekać);
- otwarto drogę do swobodnego zakładania stowarzyszeń i organizacji politycznych i społecznych (co w PRL było ściśle kontrolowane przez władze).

Czy była zdrada przy Okrągłym Stole?

Pisze historyk, prof. Andrzej Friszke: "W 15 lat później pojawiły się oskarżenia, że był w istocie zaprogramowany i rozegrany przez **SB**. Wszystkie te rewelacje nie mają żadnego pokrycia w źródłach, także wytwarzanych wówczas przez MSW, i w korespondencji resortu z przywódcami partii".

Opierałem się m.in. na rozprawie Andrzeja Friszke "Geneza i historia Komitetu Obywatelskiego", wydanej jako przedmowa do książki "Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ "Solidarność" Lechu Wałęsie, Stenogramy posiedzeń", wyd. Rosner & Wspólnicy, Warszawa 2006; wykorzystałem także fragmenty artykułu Jerzego Skoczylasa z 2006 r.

PRACA DLA SWOICH

Mag
Kurier Szczeciński, 9.02.2009

Kryzys gospodarczy wywołuje w wielu krajach Europy protesty przeciwko zatrudnianiu cudzoziemców. Niemcy z tego powodu nie zamierzają otworzyć swojego rynku pracy. Przymknąć granice przed cudzoziemskimi robotnikami chce i nasze OPZZ.

W Irlandii liczba oficjalnie zarejestrowanych tam pracowników z Polski spadła ostatnio aż o 53 proc. Przerażeni kryzysem, który

dotkliwie dotknął Zieloną Wyspę, wracają do kraju lub przenoszą się do Wielkiej Brytanii. Z Wysp jednak także dochodzą sygnały o protestach przeciwko zatrudnianiu cudzoziemców. Niemcy z kolei nie palą się do otworzenia m.in. przed Polakami swojego rynku pracy, co miało nastąpić 1 maja br. Chcą to odwlec o dwa lata. W ich ślady być może pójdzie i Austria.

Nad gorszymi warunkami pracy dla Polaków zastanawia się obecnie także rząd holenderski. Stowarzyszenie Pośredników Pracy (VIA) złożyło bowiem wnioski o stworzenie nowego zbiorowego układu pracy dla pracowników tymczasowych (CAO), a na tej zasadzie jest tam zatrudnionych ok. 35 tys. Polaków. Najpopularniejszy teraz układ, czyli ABU (Stowarzyszenie Agencji Pracy Tymczasowej, które skupia 300 takich firm i największe związki zawodowe)-CAO, byłby zastąpiony nową umową zbiorową przewidującą gorsze warunki pracy dla Polaków w Holandii.

Zgodnie z propozycjami VIA, Polak, wykonując tę samą pracę co jego holenderski odpowiednik, będzie zarabiał 5-10 proc. mniej (także za nadgodziny i weekendy). Dodatkowo, regulacja VIA-CAO przewiduje związanie polskiego pracownika z daną agencją pośrednictwa na 3,5 roku bez gwarancji zatrudnienia i zarobków. Na nowe regulacje ABU się nie godzi.

- Polscy pracownicy są mile widziani w Holandii, ale w naszej opinii powinni mieć zapewnione te same prawa co holenderscy, czyli takie same płace i gwarancje pracownicze - stwierdził prezes ABU Aart van der Gaag.

Również polski Związek Agencji Pracy Tymczasowej krytykuje te propozycje.

- Pracownicy pracujący w tym samym kraju i wykonujący tę samą pracę mają prawo oczekiwać równego traktowania - powiedziała Agnieszka Bulik, prezes ZAPT.

Ograniczenie w zatrudnianiu pracowników z Polski nie jest odczuwalne za to w Norwegii, gdzie warunki zatrudnienia i płace są wysokie. Firmy rekrutacyjne szukają dla tamtejszej służby zdrowia ok. 150 pielęgniarek. Nadal jest tam też praca w stoczniach, choć nie dla wszystkich.

- Stocznie norweskie portfel zamówień mają pełny do końca 2010 roku - poinformował Tomasz Partyka, prezes Genfer Lloyd w Szczecinie. - Fachowców z branży stoczniowej nadal tam brakuje, choć rynek jest już nasycony spawaczami, malarzami i piaskarzami. Poszukiwani są za to rurarze i mechanicy.

Przymknięcie polskich granic dla pracowników, tyle że spoza Unii Europejskiej i niewykwalifikowanych, chce zaproponować naszemu rządowi OPZZ.

ANDRZEJ ARENDARSKI: ZWIĄZKI, CZYLI LICYTACJA RADYKALIZMU

Nowy przemysł,
Bankier.pl, 10.02.2009

Przyjeżdżało się do Warszawy z kijami, prętami, robiło zadymę i osiągało to, co się chciało. Jednak te czasy minęły - mówi Andrzej Arendarski, prezes Krajowej Izby Gospodarczej.

- Jak ocenia pan zachowanie związków zawodowych?

- Myślę, że związki zawodowe nieco spuściły z tonu. Dotarło do nich to, że obecnie na rynku światowym jest sytuacja kryzysowa.

I ich działania nie są już tak bezwzględne, jak do tej pory. Związki zawodowe są z roku na rok słabsze. To tendencja ogólnoświatowa.

W miarę globalizowania się gospodarki związki zawodowe tracą na znaczeniu.

One mają spore znaczenie wtedy, kiedy gospodarka jest względnie zamknięta. Jeżeli natomiast można sięgnąć po towary bądź usługi z zagranicy, to związki są świadome tego, że wysuwając nazbyt rozbuchane żądania, podpiłowują gałąź, na której same siedzą.

Poza tym w Polsce mamy obecnie częste nawiązywanie do symboliki solidarnościowej, które to należałoby czasem traktować w formie groteski. Przeciętnemu Polakowi Solidarność kojarzy się pewnie z walką o wolność, o swobody obywatelskie.

A teraz te symbole często towarzyszą rzucaniu kamieniami, petardami czy paleniu opon. To się ludziom nie podoba i przez to związek traci swój autorytet.

- Związkowcy wskazują, że obecnie nie jest prowadzony dialog społeczny, a rząd Donalda Tuska stwarza tylko pozory jego prowadzenia. Czy to uzasadniona opinia?

- Myślę, że tego dialogu nie ma. Natomiast gdybym miał wskazać, dlaczego go nie ma, to powiedziałbym, że dlatego, iż związki nie są dojrzałym partnerem negocjacyjnym.

W Polsce związki były przez długie lata przyzwyczajone do tego, że się przyjeżdżało do Warszawy z kijami, prętami, robiło zadymę i osiągało to, co się chciało. Jednak te czasy minęły. Teraz trzeba wynająć dobrych negocjatorów, specjalistów i przy stole walczyć o swoje. Za pomocą argumentów, a nie kijów. Sądzę, że polskie związki, a szczególnie Solidarność, nie są jeszcze na to gotowe. Rej w Solidarności nadal wodzą ekstremitści. Tam nie można być człowiekiem umiarkowanym, bo się "traci twarz".

- A jak oceniliby pan pozostałe centrale związkowe? Która z nich zachowuje się najbardziej racjonalnie?

- Nie mam aż tak dobrego rozeznania. Sądzę, że największe centrale związkowe zachowują się podobnie, obserwują nawzajem i licytują, kto jest bardziej radykalny.

Myślę, że Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych (OPZZ) jest spokojniejsze od Solidarności, gdzie górę biorą zwolennicy konfrontacji. Na temat innych związków, jak na przykład Sierpień 80, nawet nie chcę się wypowiadać.

- A dlaczego?

- Bo to jest nieuleczalna ekstrema.

- Ale za to skuteczna, liczą się z nią również i te większe związki.

- To jest właśnie ta licytacja radykalizmu. Przez to, że jest Sierpień 80, inne centrale związkowe muszą być bardziej radykalne niż same by tego chciały.

- Jak ocenia pan przewodniczącego Solidarności Janusza Śniadka?

- Dobrze go oceniam, to inteligentny człowiek. Ale jest uwikłany w wewnętrzzwiązkowe układy i tym układom ulega. Myślę, że to jest urodzony przywódca związkowy, jednak jest zbyt słaby, nie potrafi narzucić innym swojej woli.

- Brakuje mu charyzmy?

- Trochę tak, albo raczej brakuje mu stanowczości skierowanej na promocję umiarkowania.

- Jednakże pod koniec listopada 2008 roku Janusz Śniadek był raczej niechętny strajkowi generalnemu.

- To bowiem człowiek inteligentny i rozumny. On wie, że z takiego strajku wyszłyby nici.

- Nie wyszedłby taki strajk, czy też jednak udałoby się go przeprowadzić, ale niczego by nie zmienił?

- Może by i wyszedł, ale w postaci szczątkowej i niczego by nie zmienił. Zresztą nie wierzę w podjęcie strajku generalnego z jakichś błahych powodów.

- Czyli obecnie polskie związki nie są gotowe do przeprowadzenia strajku generalnego?

- Musiałby być powód, który zmobilizowałby ludzi. Bez takiego wyraźnego powodu związki nie są w stanie przeprowadzić strajku generalnego.

- Związki wyliczają wiele powodów: arogancję władzy, brak dialogu społecznego, odbieranie praw do

wcześniejszych emerytur...

- Zaden z tych powodów nie jest w stanie poruszyć ludzi do tego stopnia, by zorganizowano strajk generalny w Polsce. Należy pamiętać, że aktywność związkowa i skłonność do strajku wzrasta wraz z dobrobytem.

A przed nami dość trudny rok. Ludzie będą raczej myśleć o tym, by zachować miejsca pracy i będą skłonni godzić się z przejściowymi ograniczeniami. A zatem nie sądzę, żebyśmy obserwowali rosnącą skłonność do podejmowania dużych akcji strajkowych.

- Z tego, co pan teraz powiedział, wynika, że związki zawodowe potrafią się u nas zachowywać racjonalnie.

- Ale ja przecież tego nie neguję. Chwała Bogu, że związki w Polsce potrafią też być racjonalne.

- Czy jest oczekiwanie w środowisku pracodawców, że rząd premiera Donalda Tuska zmarginalizuje związki?

- Znam Michała Boniego i wiem, że to ostatni człowiek, który chciałby osłabienia związków zawodowych. On po prostu chciałby mieć w związkach rzetelnych partnerów, z którymi mógłby rozważać różne racje i znajdować rozwiązania, które mogłyby zaakceptować związki zawodowe oraz rząd.

Dlatego sądzę, że ten rząd tłamsić nikogo - w tym również związków zawodowych - nie zamierza. Sam Michał Boni to tytan pracy. Poza tym jest człowiekiem, który dzięki swojej wiedzy budzi szacunek także i u przeciwników.

- Co powiedziałby pan przewodniczącemu Solidarności Januszowi Śniadkowi?

- Żeby siadać do stołu i rozmawiać o rzeczywistych perspektywach polskiej gospodarki. I jeżeli już wysuwać roszczenia, to w takiej skali, żeby w ogóle mogły zostać uwzględnione. Związki zawodowe muszą stać się partnerem, który bierze współodpowiedzialność za stan polskiej gospodarki. A nie troszczyć się jedynie o swoich członków. Tragedią jest to, że firmy muszą dawać związkowcom etaty, samochody. Przecież to jest relikw socjalizmu.

- Odejdźmy na chwilę od związków. Jak ocenia pan dokonania rządu PO-PSL?

- Sytuacja w światowej gospodarce będzie stymulowała rząd do szybszych i bardziej radykalnych działań. I to się już dzieje. Natomiast trzeba pamiętać, że ten rząd się wycofał z pewnych przedwyborczych obietnic. Choćby z rzeczywistej reformy KRUS- u czy z wprowadzenia podatku liniowego. Z drugiej strony są pozytywne działania, na przykład komisji Przyjazne Państwo pod wodzą posła Janusza Palikota. A także działania wiceministra Szejnfelda. To są bardzo potrzebne sprawy.

- O komisji Przyjazne Państwo mówi się, że jest wokół niej dużo szumu, ale efektów jej prac nie widać.

- Niektórzy tak mówią, ale ja wstrzymałbym się z ocenami. Samo zidentyfikowanie różnych absurdów kosztowało tę komisję mnóstwo pracy. I myślę, że te pożądane efekty też się niebawem pojawią.

*Andrzej Arendarski, prezes Krajowej Izby Gospodarczej
Urodził się w 1949 r. w Warszawie. Poseł na Sejm X i I kadencji, były szef Stronnictwa Demokratycznego. Absolwent Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego, doktor nauk humanistycznych.*

Od końca lat 80. działa w instytucjach gospodarczych, w latach 1990-92 był prezesem Krajowej Izby Gospodarczej.

W lipcu 1992 r. został powołany na stanowisko ministra współpracy gospodarczej z zagranicą w gabinecie Hanny Suchockiej.

Od października 1993 r. ponownie nieprzerwanie pełni funkcję prezesa Krajowej Izby Gospodarczej.

Od 1980 r. działał w Solidarności. Jako poseł należał do Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Był współzałożycielem Kongresu Liberalno-Demokratycznego i wiceprzewodniczącym tej partii.

Jerzy Dudala

ZWIĄZKI GODZĄ SIĘ NA ELASTYCZNY CZAS PRACY

IAR, 10.02.2009

Money.pl, 10.02.2009

Związki i pracodawcy uzgadniają dziś pakiet działań antykrzysowych.

Głównym tematem rozmów będzie wprowadzenie bardziej elastycznych przepisów, dotyczących czasu pracy.

Przewodniczący OPZZ Jan Guz powiedział, że związkowcy zgadzają się wstępnie na takie rozwiązanie. Zaznacza jednak, że należy szczegółowo określić warunki.

Podczas spotkania będzie też rozważana zgłoszona przez pracodawców propozycja wydłużenia okresu rozliczania czasu pracy. Obecnie pracodawca rozlicza swych pracowników w cyklu trzymiesięcznym. Wydłużenie tego okresu do roku ma umożliwić skuteczniejsze wykorzystanie czasu pracy w okresach, gdy pracownik jest najbardziej potrzebny firmie.

ZBROJENIÓWKA IDZIE NA WOJNĘ Z RZĄDEM

Polska, 10.02.2009

Producenci broni idą na wojnę z rządem. Będą walczyć o swoje miejsca pracy. Związkowcy alarmują, że może je stracić nawet sto tysięcy osób.

A wszystko przez cięcia w Ministerstwie Obrony. Dziś ogłoszą decyzję o ogólnopolskim strajku.

Protest przeprowadzą Solidarność i OPZZ, czyli dwie największe organizacje pracownicze w zbrojeniówce. Zacznie się od pikiety podczas nieformalnej narady ministrów obrony państw NATO, która w przyszłym tygodniu odbędzie się w Krakowie. Później związkowcy będą manifestować w Warszawie - pod kancelarią premiera, Sejmem i siedzibą Ministerstwa Obrony. Na ulice wyjść może nawet 40 tys. osób.

Minister Bogdan Klich w swoim budżecie musiał znaleźć 1,947 mld zł oszczędności. Obcięte zostaną wydatki na modernizację armii. MON ma m.in. re negocjować umowy na zakup uzbrojenia. Klich zapewnia, że w pierwszej kolejności pod nóż pójdą umowy z zagranicznymi dostawcami sprzętu, ale pracowników taka deklaracja nie uspokaja. - Jeżeli dostawy sprzętu dla wojska zostaną zredukowane o połowę, to każda z firm będzie musiała zwolnić ok. 30 proc. załogi - szacuje Stanisław Janas z OPZZ.

Według Solidarności na bruku wylądować może nawet 100 tys. osób. To pracownicy dużych zakładów zbrojeniowych i przedsiębiorstw, które żyją z kooperacji ze zbrojeniówką.

Przedsiębiorcy, z którymi rozmawiała "Polska", przyznają, że wizja zwolnień załogi jest coraz bardziej realna. - Nasza produkcja wymaga dużych nakładów. Jeśli okaże się, że armia wstrzymuje się z zakupami, będziemy musieli zwalniać - mówi Piotr Mazurek, prezes Zakładów Metalowych "Mesko" w Skarżysku-Kamiennej.

Spółka zatrudnia 1,7 tys. osób. Produkuje pociski raketowe i sterowane oraz amunicję. W Skarżysku powstają m.in. przenośne rakiety przeciwlotnicze Grom. Ponad połowa pieniędzy to kontrakty z MON. Jeśli rządowe cięcia dotkną skarżyską spółkę, ucierpią też inni, np. Zakład Produkcji Specjalnej w Jaśle, produkujący też paliwo do rakiet.

Robert Rochowicz, rzecznik MON, zapewnia, że ministerstwo

ochroni zakłady zbrojeniowe przed upadkiem. - Szef resortu zabiegać będzie o to, aby żadna ważna linia technologiczna nie została zlikwidowana. Możliwe są jedynie ograniczenia liczby zamawianych produktów oraz przesunięcia terminów płatności - mówi.

Przyszłość zbrojeniówki może rozstrzygnąć się już 13 lutego. Tego dnia minister Klich ma przedstawić szczegółowy plan cięć wydatków na wojsko.

IAR: ZWIĄZKOWCY I PRACODAWCY PO ROZMOWACH

aii.pl, 10.02.2009 13:44

Spotkanie związkowców i pracodawców w sprawie pakietu działań antykrzysowych zakończyło się wstępnym porozumieniem. Prezydent Polskiej Konferencji Pracodawców Prywatnych Lewiatan Henryka Bochniarz powiedziała, że obu stronom udało się wstępnie porozumieć m.in. w kwestii ochrony miejsc pracy przez wykorzystanie funduszy europejskich oraz elastycznego czasu pracy. Przewodniczący OPZZ Jan Guz zapowiedział, że jeszcze w tym tygodniu zespoły spotkają się ponownie, aby uszczegółowić te rozwiązania. Jednym z warunków związkowców na ich zgodę w sprawie elastycznych przepisów dotyczących czasu pracy jest zmiana w przepisach, która ograniczałaby maksymalny okres trwania umowy na czas określony do 18 miesięcy. Po tym czasie pracownik musiałby otrzymać umowę na czas nieokreślony. Według Jana Guza takie rozwiązanie będzie stymulujące dla polskiej gospodarki, gdyż stabilizacja finansowa prowadziła do pobudzenia popytu konsumpcyjnego. W poniedziałek obie strony zamierzają spotkać się ponownie, aby dogadać szczegóły wspólnego planu i jeszcze tego samego dnia przedstawić go przewodniczącemu Komisji Trójstronnej. Tego samego dnia będą chcieli przesałać projekt do premiera. IAR/K.Szwabuła/K.P.

FALA PROTESTÓW ZALEWA POLSKĘ

Józef Matusz , Karolina Baca , Zbigniew Lentowicz

Rzeczpospolita, 11.02.2009

Górnicy chcą podwyżek, hutnicy – wypłaty zaległych pensji. Sierpień '80 już okupuje spółki węglowe. Decyzje o protestach w zbrojeniówce już zapadły

Wczoraj rozpoczęła się okupacja siedziby Katowickiego Holdingu Węglowego, w poniedziałek – Kompanii Węglowej. Obie spółki zatrudniają łącznie 87 tys. ludzi. W pierwszej Sierpień '80 chce 12-proc. podwyżek, w drugiej – 14 proc.

– Zamkniemy 2008 r. ze stratą 37 mln zł, bo musieliśmy utworzyć rezerwę na podatek od wyrobisk podziemnych w wysokości 220 mln zł – mówi "Rz" Zbigniew Madej, rzecznik KW. Zarząd Kompanii zaproponował 5 proc. podwyżki. To oznacza 200 mln zł. Trudno przypuszczać, że pojawi się inna propozycja. KHW zaś chce utrzymania płac na poziomie z 2008 r.

– Te spółki otwierają drogę do strajku – kwituje Bogusław Ziętek, szef Sierpina '80. Zarząd KW chce rozmawiać 18 lutego, związkowcy – 12 lutego. Dziś decyzja w tej sprawie. – Wszystko się zmienia jak w kalejdoskopie – mówi Wacław Czerkawski, wiceszef Związku Zawodowego Górników w Polsce. – Jeśli chcemy uniknąć strajku generalnego w górnictwie, trzeba działać szybko. Mimo to np. Jastrzębska Spółka Węglowa nie zmienia terminu rozmów. – Podtrzymujemy termin 24 lutego – mówi "Rz"

Jarosław Zagórowski, prezes JSW. O płacach będzie dziś głośno w KGHM Polska Miedź, jednak Józef Czyczerski z "S" zapewnia, że nawet mimo braku porozumienia decyzji o proteście nie będzie, bo czas na rozmowy placowe jest do końca lutego.

W innych firmach nie jest tak spokojnie. Na ulice wyszło wczoraj tysiąc pracowników Zakładów Zespołów Mechanicznych – protestowali przed dyrekcją Huty Stalowa Wola, która jest większościowym udziałowcem ZZM. Tam urządzili ognisko z opon, a pod gabinet dyrektora wnieśli taczki. Zakład nie wypłacił im pensji – proponuje 200 zł zaliczki. Wczoraj po południu sąd ogłosił jego upadłość. Na dalszą pracę może liczyć najwyżej jedna trzecia załogi.

Zatrudniająca 970 osób spółka produkowała m.in. dla austriackiej firmy Hartl. Ta z powodu kryzysu przestała zamawiać urządzenia, co doprowadziło do załamania produkcji i niewypłacalności ZZM.

A związkowcy z Europejskiej Federacji Metalowców i NSZZ "S" z polskich hut należących do ArcelorMittal protestowali wczoraj w Brukseli przeciw zwolnieniom i polityce finansowej koncernu. Wzburzenie wywołały zapowiedzi zarządu Arcelor Mittal, iż poda wysokość dywidendy, która zostanie wypłacona akcjonariuszom. Tymczasem po koniec 2008 r. koncern ogłosił redukcję 9 tys. miejsc pracy, w tym 6 tys. w Europie. Związkowcy twierdzą więc, że koncern wykorzystuje kryzys do niczym niesprawiedliwej restrukturyzacji i zwalniania pracowników.

Wrze też w zbrojeniówce. Powodem jest zapowiedź cięć w zamówieniach MON. W opinii Stanisława Głowackiego, szefa "S" w zbrojeniówce, armia chce się wycofać z realizacji 60 – 70 proc. wartości podpisanych kontraktów. – Ucierpi 100 tys. ludzi – ostrzega Głowacki. Decyzje o masowych protestach są już przesądzone. We wtorek zawiązał się Ogólnopolski Komitet Protestacyjny, który połączył "S", związki zawodowe w przemyśle lotniczym i OPZZ. Od najbliższego poniedziałku we wszystkich firmach obronnych wprowadzone zostanie pogotowie strajkowe. Zaplanowano pikietę konferencji NATO w Krakowie. Związkowcy planują konsultacje z rządem, aby szukać wyjścia i zasugerować rozwiązania, które zminimalizowałyby konsekwencje zapaści w zbrojeniówce dla bezpieczeństwa kraju. Do rozmów chcą włączyć prezydenta RP.

ZYSKOWNE POLISY OD BEZROBOCIA

Aleksandra Biały

Rzeczpospolita, 11.02.2009

Wielka Brytania wprowadza restrykcje w sprzedaży polis od utraty pracy. W Polsce KNF dopiero szykuje rekomendacje dla banków, by lepiej informowały klientów o dodatkowych produktach

Polisy od utraty pracy, choroby czy wypadku (tzw. PPI – payment protection insurance) najchętniej oferowane są przez banki, również w Polsce, przy zaciąganiu kredytu. Mają one zagwarantować pokrycie rat kredytu przez zazwyczaj 6 – 12 miesięcy, w przypadku gdy kredytobiorca straci pracę. Samej polisy od utraty pracy w naszym kraju nie można kupić. Próbowaly je już kilkakrotnie wprowadzać związki zawodowe OPZZ czy „Solidarność”, jednak bez powodzenia. Ubezpieczyciele bali się zbyt dużego ryzyka zwolnień w jednej branży.

W Wielkiej Brytanii polisy PPI od lat były krytykowane za ogromne korzyści, jakie banki czerpią z ich sprzedaży, oraz za to, że mało komu udaje się otrzymać odszkodowanie. Banki potrafią pobrać nawet 8 z każdych 10 funtów składki płaconej za to ubezpieczenie. Warunkiem otrzymania odszkodowania jest utrata pracy wyłącznie z winy pracodawcy, ale tego już rzadko kto jest

świadomy, decydując się na to ubezpieczenie. Od nowego roku Brytyjczycy dopiero po siedmiu dniach od daty zaciągnięcia kredytu będą mogli być namawiani przez bank czy ubezpieczyciela do zakupu takiego ubezpieczenia. Przez ten czas będą mogli dokładnie się zorientować w ofercie, która będzie musiała też zawierać więcej szczegółowych informacji.

W Polsce nie są planowane takie ograniczenia. Banki mają być jedynie mobilizowane do dokładniejszego informowania klientów. – Konieczna jest zmiana polityki informacyjnej banków w tym zakresie – mówi „Rz” Katarzyna Biela z Komisji Nadzoru Finansowego. Wyjaśnia, że w KNF trwają prace nad rekomendacjami dla banków o jednolitych zasadach informowania o ubezpieczeniach dołączanych do kredytów czy kart płatniczych.

– To, że w Polsce nie było skandalu z tzw. polisami PPI, wynika z tego, że nie są one sprzedawane tak agresywnie i tak powszechnie jak choćby w Wielkiej Brytanii – mówi „Rz” Adam Pustelnik, były szef Genworth Financial w Polsce, obecnie wiceprezes spółek ubezpieczeniowych Signal Iduna. Wyjaśnia, że średnio rodzina w Polsce ma też mniej kredytów niż ta na Wyspach.

W Polsce polisę od bezrobocia można wykupić jedynie przy zaciąganiu kredytów. Przeciętna cena takiej polisy, sprzedawanej łącznie z kredytem lub kartą kredytową, waha się od 1 do 3 proc. sumy ubezpieczenia, czyli spłacanych rat. Nie ma też danych pokazujących wysokość składek zebranych z tego tytułu. Nie zbiera ich KNF, a branża szacuje, że czynnych może być kilka milionów polis.

Najbardziej aktywne na tym rynku są: Europa, Cardif, Genworth Financial oraz inne oddziały europejskich firm, które nie podlegające polskiemu nadzorowi.

Dla KNF problem tzw. mis-sellingu (czyli nietrafionej sprzedaży) może dotyczyć również innych polis dołączanych do produktów bankowych. – Klienci często nie są świadomi, że kupują produkt „dwa w jednym”, czyli np. kartę płatniczą z ubezpieczeniem. Zdarza się nawet, że jeśli zaistnieje sytuacja, która uprawnia do odszkodowania, klient nie zwraca się po nie do ubezpieczyciela – mówi „Rz” Katarzyna Biela z KNF. Wyjaśnia, że często trafiają się też ubezpieczenia fakultatywne, czyli takie, które obowiązują, dopóki klient ich nie wypowie, np. zadzwoni na infolinię banku i poinformuje, że nie chce korzystać z ubezpieczenia. Dopiero wówczas nie jest pobierana składka.

ZUS: MOŻESZ LICZYĆ NA 73 ZŁ MIESIĘCZNIE

Gazeta Prawna, 11.02.2009

Interia.pl, 2.09.2009

Główny Urząd Statystyczny podał wczoraj, że kwota bazowa, która będzie obowiązywać od marca tego roku, wyniesie 2578,26 zł. Będzie więc wyższa od obowiązującej obecnie (wynosi 2275,37 zł) o 302,89 zł.

Ponieważ ZUS, przyznając od marca emerytury i renty, weźmie pod uwagę wysokość nowej kwoty bazowej, świadczenia będą wyższe. Przypomnijmy, że GP już w listopadzie ubiegłego roku informowała, że tegoroczny wzrost kwoty bazowej będzie wysoki. Szacowaliśmy, że wyniesie ona 2548 zł (pomyliliśmy się więc zaledwie o 30 zł).

Emerytury i renty wzrosną o 6,1 proc.

Kwota bazowa ma istotny wpływ na wysokość przyznawanych świadczeń. Po pierwsze, decyduje o wysokości tzw. części socjalnej emerytury. Otrzymuje ją każda osoba, której ZUS przyznaje do niej prawo. Wynosi 24 proc. kwoty bazowej

i obecnie jest to 546,09 zł. Od marca wzrośnie do 618,78 zł. **Osoba, która wstrzyma się ze złożeniem wniosku do ZUS, zyska więc od marca prawie 73 zł miesięcznie.**

Po drugie, wysokość kwoty bazowej wpływa też na wysokości tzw. podstawy wymiaru świadczenia. ZUS wylicza ją, mnożąc obliczony wcześniej wskaźnik wysokości podstawy wymiaru emerytury (stosunek zarobków wnioskodawcy w wybranych przez niego latach do przeciętnej płacy w tych latach) przez kwotę bazową. A przy obliczaniu części socjalnej emerytury i podstawy wymiaru ZUS stosuje kwotę bazową obowiązującą w dniu zgłoszenia wniosku.

Jeśli więc ktoś złoży do ZUS wniosek o świadczenie w lutym, to zakład wyliczy je ze starą kwotą bazową. Złożenie wniosku w marcu gwarantuje uzyskanie wyższego świadczenia.

Trzeba jednak pamiętać, że świadczenie przyznane w lutym zostanie w marcu zwaloryzowane. Wczoraj GUS podał, że realny wzrost przeciętnego wynagrodzenia w 2008 roku w stosunku do 2007 roku wyniósł 6 proc. Wcześniej w komunikacie z 14 stycznia podał, że średnioroczny wskaźnik cen towarów i usług konsumpcyjnych dla gospodarstw emerytów i rencistów w 2008 roku wyniósł 104,9 (wzrost o 4,9 proc.).

NOWA POWIATOWA RADA ZATRUDNIENIA

eOstrołęka, 11.02.2009

Wczoraj wręczono nominacje nowym członkom Powiatowej Rady Zatrudnienia. Przewodniczącym Rady został wiceprezydent miasta Grzegorz Płocha – jego zastępcą wicestarosta Witold Pakieła.

Oprócz nich do Rady zostali powołani przez Prezydenta Janusza Kotowskiego przedstawiciele związków zawodowych: Krzysztof Białobrzewski - NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze Oddział w Ostrołęce i Kazimierz Maciejewski - Rada Powiatowa OPZZ, przedstawiciel Mazowieckiej Izby Rolniczej Oddział Ostrołęka – Tadeusz Berk oraz przedstawiciele organizacji pracodawców: Mariusz Mierzejewski - Zrzeszenie Kupców i Handlowców Targowiska Miejskiego, Ewa Maria Nisiobędzka - Cech Rzemiosł Różnych i Przedsiębiorczości w Ostrołęce, Stanisław Nowak - Loża Mazowiecka Business Centre Club i Ireneusz Żuchowski - Ostrołęckie Forum Gospodarcze. Starosta Stanisław Kubeł oprócz swego zastępcy wydelegował do Rady panie: Halinę Gontarzewską, Lucynę Struniawską, Danutę Gawrychowską oraz panów: Tadeusza Olendra, Grzegorza Żerańskiego, Andrzeja Kanię i Andrzeja Lisa.

NADŁAMANIE SYSTEMU

Antoni Dudek, Andrzej Grajewski

Gość Niedzielny,
OPOKA, 11.02.2009

O kulisach obrad przy Okrągłym Stole z dr. hab. Antonim Dudkiem rozmawia Andrzej Grajewski

Andrzej Grajewski: Dlaczego władze zdecydowały się jesienią 1988 r. na podjęcie rozmów z opozycją? Sprawa była rozważana wcześniej, już w 1986 r.

Antoni Dudek: — Od 1986 r. Jaruzelski myśli o czymś, co profesor Paczkowski nazywa „mechanizmem kooptacji”. Następuje amnestia, w ramach której zostają zwolnieni prawie wszyscy więźniowie polityczni i powstaje Rada Konsultacyjna

przy przewodniczącym Rady Państwa. Zajmują w niej miejsce, obok różnych postaci zasłużonych dla PRL, także ludzie związani z episkopatem, jak prof. Krzysztof Skubiszewski czy prof. Andrzej Świącicki, prezes warszawskiego KIK. Moim zdaniem, to był punkt wyjścia dla wykreowania środowiska politycznego, może partii chadeckiej, lub chadeckich związków zawodowych, z którymi zamierzano przeprowadzić operację, nazwaną później Okrągłym Stołem.

Dlaczego tego planu nie udało się zrealizować?

— Strona kościelna nie wyraziła nim zainteresowania, gdyż nie miała zaufania do władz. W czerwcu 1988 r., po pierwszej fali strajków, sekretarz KC PZPR Stanisław Ciosek w rozmowie z ks. Alojzym Orszulikiem mówi wprost, że będą utworzone urząd prezydenta i druga izba parlamentu, w której może być miejsce dla opozycji. Pada także konkretna propozycja podziału mandatów do Sejmu — 60 proc. koalicja pod egidą PZPR, 40 proc. opozycja, czyli Ciosek dawał wówczas więcej, aniżeli ostatecznie udało się uzyskać przy Okrągłym Stole. Ale strona kościelna odrzuciła propozycję, mówiąc, że w sprawach reform politycznych należy rozmawiać z Wałęsą i jego otoczeniem.

I nadchodzi druga fala strajków w sierpniu 1988 r.

— To jest czynnik decydujący. 20 sierpnia na posiedzeniu Biura Politycznego zapada decyzja o rozmowach z „Solidarnością”. Jak mówił Rakowski: „Choć nam to trudno przechodzi przez gardło, musimy rozmawiać z Wałęsą”.

A co na to Moskwa? Czy decyzje władz w Warszawie mogły być suwerenne?

— Czytałem niedawno szyfrogramy, jakie słał z Moskwy ambasador Włodzimierz Natorf, który informował, że towarzysze radzieccy dają Jaruzelskiemu „zielone światło” do rozmów z opozycją. Co więcej, podejmują pewne działania, które budzą zaniepokojenie w Warszawie. Chodzi o pomysł zaproszenia jesienią 1988 r. Adama Michnika do Moskwy na zjazd filmowców. Organizacją wyjazdu miał się zająć Andrzej Wajda. Wywołało to wielki niepokój w Warszawie. MSZ na polecenie Jaruzelskiego nakazuje zablokowanie przejazdu. Jest także inny sygnał. W sierpniu 1988 r., w czasie drugiej fali strajków, redakcja „Literaturnej Gazety”, jednego z najbardziej wówczas poczytnych i prestiżowych tygodników, zwraca się do ambasady PRL z prośbą o przeprowadzenie wywiadu z Wałęsą. Następuje bardzo zdecydowana kontrakcja. Ambasador Natorf otrzymuje polecenie, aby wyperswadować ten pomysł w odpowiednim wydziale KC w Moskwie, i rzeczywiście nie dochodzi do tej rozmowy. Moskwa więc wyraźnie popychała Jaruzelskiego do zmian. Nie kazała mu oddawać władzy. To nie było intencją Gorbaczowa. Ale w ramach modernizacji systemu Jaruzelski miał dokonać nowego podziału władzy w Polsce.

Propozycja rozmów z władzami doprowadza do ostrej polaryzacji w obozie opozycji.

— Wałęsa w końcu sierpnia 1988 r. podejmuje jedną z najtrudniejszych decyzji w swej politycznej karierze, kiedy po rozmowie z gen. Kiszczakiem decyduje się, aby zaapelować o przerwanie strajków. Strajki wprawdzie się kończą, ale ludzie czekają, co będzie dalej, czy z tego coś wyniknie. Gdyby Wałęsa nie miał w tym momencie sukcesu, skompromitowałby się jako przywódca. Zaczyna się dla niego bardzo trudny okres. Mijają tygodnie i miesiące i nie ma żadnych postępów. Są za to postrajkowe represje, które dodatkowo komplikują jego sytuację. W dodatku działacze Krajowej Komisji, wybranej w czasie I Zjazdu „Solidarności” jesienią 1981 r., domagają się zwołania tego statutowego gremium. Wałęsa jednak tego nie robi, aby mieć swobodę działania. Opiera się na grupie doradców, co jest kontestowane przez znaczną część opozycji i działaczy związkowych.

Proces dochodzenia do Okrągłego Stołu nie miał więc żadnej demokratycznej legitymacji ze strony opozycji?

— Obie strony decydując się na rozmowy, musiały spacyfikować w swoich szeregach przeciwników takiego

rozwiązania. Jest oczywiste, że cały mechanizm Okrągłego Stołu nie miał nic wspólnego z demokracją.

Kto jest głównym konstruktorem Okrągłego Stołu w obozie władzy?

— Głównym decydem jest gen. Wojciech Jaruzelski. Nie on wymyśla, ale on decyduje. Niewątpliwie kluczowa jest także rola Kiszczaka, zarówno w czasie rozmów w Magdalence, jak i przy Okrągłym Stole jako szefa delegacji rządowej. Ważną postacią jest Janusz Reykowski, członek Biura Politycznego KC, profesor psychologii społecznej, który ma używać różnych technik psychologicznych, aby rozmiękczać przeciwnika. Istotna jest także jego długoletnia znajomość z prof. Bronisławem Geremekiem. W trakcie obrad coraz większą rolę zaczyna odgrywać Aleksander Kwaśniewski. W pewnym momencie zgłasza propozycję, aby wybory do Senatu były całkowicie wolne, co przełamuje impas, w jakim znalazły się rozmowy polityczne. Trzeba również wspomnieć o ważnej osobie drugiego planu, Andrzeju Gduli, byłym wiceministrze z MSW, tajemniczym, milczącym, ale bardzo wpływowym. Później był wieloletnim współpracownikiem prezydenta Kwaśniewskiego. Znaczącą postacią jest oczywiście Stanisław Ciosek, odpowiadający za kontakty ze związkami zawodowymi. Z osób, których nie ma w Magdalence ani przy Okrągłym Stole, a z pewnością są ważne dla podejmowanych wówczas decyzji, wypada wspomnieć Józefa Czyrka, jednego z głównych współpracowników gen. Jaruzelskiego, w tym czasie sekretarza KC odpowiedzialnego za sprawy międzynarodowe. W czasie obrad własną grę zaczął wyraźnie prowadzić Alfred Miodowicz, szef OPZZ. Nagle, na początku obrad, domaga się natychmiastowych wolnych wyborów oraz zniesienia cenzury. Odgrywa się w ten sposób na Jaruzelskim za to, że generał zgodził się na ponowną legalizację „Solidarności”, choć wcześniej obiecywano OPZZ, że zasada jeden związek w zakładzie pracy nie zostanie naruszona.

A po stronie opozycji?

— Postacią główną jest Wałęsa, ale głównym negocjatorem strony opozycyjnej przy Okrągłym Stole — prof. Geremek. Linia komunikacyjna Geremek—Reykowski jest, moim zdaniem, najważniejsza w czasie tych obrad. Ważną rolę odgrywają także Jacek Kuroń, Tadeusz Mazowiecki i Adam Michnik. Są oczywiście także działacze związkowi, w Magdalence jest Lech Kaczyński, ale nie jest to najbliższy krąg przy Lechu Wałęsie.

Jaka była rola rozmów w Magdalence, które odbywały się przed rozpoczęciem obrad Okrągłego Stołu i miały miejsce w jego trakcie.

— Był to dodatkowy mechanizm, umożliwiający rozwiązywanie problemów, które pojawiały się w czasie obrad Okrągłego Stołu. Ilekroć nie udawało się znaleźć rozwiązania w czasie oficjalnych rozmów, dyskutowano o tym w Magdalence, gdzie sprawy były załatwiane w trybie poufnym. Zrodziło to później legendę wielkiego spisku w Magdalence. Spisku nie było, ponieważ mamy zapiski z tych spotkań, prowadzone równolegle przez ks. Alojzego Orszulika, który był tam przedstawicielem episkopatu, i Krzysztofa Dubińskiego, sekretarza gen. Kiszczaka. Gdy się je porównuje, choć nie są identyczne, gdyż nie jest to stenogram, otrzymujemy obraz tego, co tam się działo w czasie formalnych posiedzeń. Oczywiście nie wiemy, co się działo w przerwach czy w innych, jeszcze węższych, kanałach komunikacyjnych. W Magdalence została przesądzona kluczowa kwestia, czyli co opozycja dostanie za zgodę na ustanowienie urzędu prezydenta o niezwykle szerokich kompetencjach, na czym władzom najbardziej zależało. To miało być nowe centrum władzy i choć tego nie mówiono wprost, dla wszystkich uczestników rozmów było jasne, że prezydentem będzie gen. Jaruzelski. Przez najbliższe 6 lat urząd prezydenta miał być najważniejszym ośrodkiem władzy w państwie.

Jaki jest bilans Okrągłego Stołu?

— Okrągły Stół nie był ani wydarzeniem epokowym, jak twierdzą jedni, ani spiskiem „czerwonych” z „różowymi”, jak

dowodzą drudzy. Okrągły Stół uruchomił demokratyczne przemiany w Polsce, ale w dłuższej perspektywie wpłynął także na ich spowolnienie. Jego polityczne ustalenia zostały w sporej części unieważnione po 4 czerwca 1989 r. Jaruzelski został wprowadzonym prezydentem, ale nie odegrał takiej roli, jaką sobie wyobrażał, i nie był prezydentem przez 6 lat. W ten sposób najważniejsze ustalenie Okrągłego Stołu zostało unieważnione. Pozostało natomiast to, co nazywamy duchem Okrągłego Stołu, czyli przekonanie, że należy zaniechać daleko idącej dekomunizacji w Polsce. To pojawiało się zarówno w działaniach rządu Mazowieckiego, jak i prezydenturze Wałęsy.

BIAŁYSTOK: OPZZ O SYTUACJI W FILHARMONII

Szymon Martys
Lewica.pl, 12.02.2009

10 lutego Prezydium Rady Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych Województwa Podlaskiego przyjęło stanowisko w sprawie sytuacji w Operze i Filharmonii Podlaskiej w Białymstoku.

W instytucji tej trwa spór zbiorowy wywołany, jak podkreślają związkowcy, zamiarem dyrektora **Marcina Nałęcz-Niesiołowskiego**, który chce ogólnie narzucić nowy regulamin premiowania nie licząc się z opinią Związku Pracowników Opery i Filharmonii Podlaskiej. Według związkowców projekt ten oparty jest na niczym nie ograniczonej uznaniowości.

Rada OPZZ Województwa Podlaskiego wskazuje również na fakt, że w placówce dochodzi do marginalizowania i szykanowania działaczy związkowych. *Dyrekcja dla przeciwwagi mobilizuje utrzymaną w szachu grupę pracowników administracji oraz ludzi zatrudnionych na czas określony, na etatach artystycznych, ale bez profesjonalnych kwalifikacji* - czytamy w dokumencie.

Związkowcy wezwali pracodawcę do tego aby zaprzestał konfrontacyjnego kursu wobec pracowników i przystąpił z nimi do prawdziwego i uczciwego dialogu. Wojewódzkie władze OPZZ zadeklarowały także, że jeżeli sytuacja na ulegnie zmianie na lepsze udzieli ona wszelkiej możliwej pomocy pracownikom opery i filharmonii.

GRAD: NIE ZREZYGNUJĘ Z PRYWATYZACJI

Konrad Niklewicz, Rafał Zasuń
Gazeta Wyborcza, 13.02.2009

Resort skarbu chce przecenić państwowe spółki i szybko je sprzedać. Chwałą go pracodawcy, opozycja i związki mają mieszańca uczucia

Gdy na giełdzie panuje bessy, a inwestorzy nie chcą płacić za państwowe spółki tak dobrych cen jak w 2007 r., minister skarbu **Aleksander Grad** ogłosił nowy plan prywatyzacji. Opisał go wczoraj. Żeby wesprzeć budżet państwa, chce obniżyć wycenę spółek, mniej sprzedawać przez giełdę, a więcej inwestorom strategicznym.

- Wiem, że w czasach kryzysu minister skarbu, prowadząc prywatyzację, będzie narażony na podwójnie silny atak - przyznaje Grad. - Ale z prywatyzacji nie rezygnuję. To chcę wyraźnie powiedzieć inwestorom.

- Ten plan jest zaskakujący i można powiedzieć nawet

bulwersujący, bo chodzi o pozbycie się wielkiej części majątku narodowego po niskiej cenie - zaatakował Grada szef PiS Jarosław Kaczyński na konferencji w Olsztynie. Jego partyjny podwładny poseł Paweł Poncyljusz w rozmowie z "Gazetą" był bardziej wstrzemięźliwy: - Chcemy poznać więcej szczegółów, ale nie jesteśmy fundamentalnie przeciwni. Zgadzać się, by szybko sprzedawać małe spółki. Ale boję się tylko, że duże będą wyprzedawane za szybko, żeby zaspokoić potrzeby budżetu.

"Nieporozumieniem" plan nazwał poseł SLD Ryszard Zbrzyzny. - Śmiem twierdzić, że cały klub SLD będzie przeciwko takiemu planowi - powiedział "Gazecie". Stwierdził, że na Zachodzie w czasie bessy podejmuje się inne działania. - Tam się nacjonalizuje! Naganny jest pomysł, żeby pozbyć się kontroli nad energetyką, tak istotnym działem gospodarki. To się nie spotka ani z akceptacją opozycji, ani współkoalicjanta PSL - mówi Zbrzyzny.

Jasnej opinii na temat prywatyzacji nie mają związkowi zakładów przeznaczonych do sprzedaży. Zdzisław Przydatek, szef "Solidarności" w energetycznym Tauronie, który zamiast na giełdę ma trafić w ręce inwestora strategicznego, chce najpierw poznać szczegóły. - Negować coś, czego się nie zna, byłoby nieodpowiedzialne - mówi. I dodaje, że w sprawie sprzedaży przez giełdę była zgoda w firmie, bo pracownicy mieli dostać akcje.

Z kolei szef OPZZ w Enionie, spółce wchodzącej w skład Tauronu, Józef Król z miejsca odrzuca plan Grada: - Debiut giełdowy miał przynieść pieniądze samej spółce, a w przypadku sprzedaży inwestorowi pieniądze pójdą do skarbu państwa. Wygląda to bardziej na łatanie dziury budżetowej niż działanie dla dobra spółki.

Król dodaje: - O ile strategia poprzedniego rządu wobec energetyki polegająca na łączeniu spółek w grupy była dziadowska, o tyle ten rząd nie ma w ogóle żadnej strategii dla sektora.

Przypieszenie prywatyzacji entuzjastycznie przyjmują za to pracodawcy. - To bardzo dobra decyzja! Zawsze mówiliśmy, że w Polsce nie ma "sreber rodowych", których nie powinniśmy sprzedawać. Nam potrzebne są szkoły i szpitale, a nie "srebra rodowe" - mówi Jeremi Mordasewicz, doradca zarządu konfederacji pracodawców **Lewiatan**. Podkreśla, że i w czasach kiepskiej sytuacji na giełdzie, i w czasie koniunktury zwrócenie się w stronę inwestora strategicznego jest bardzo dobrym rozwiązaniem. Bo inwestor prócz kapitału wnosi też know-how. Ale przestrzega Grada: - Przed sprzedażą spółek energetycznych trzeba mieć uporządkowany rynek energii.

ŻEBYŚMY NIE SKAKALI SOBIE DO GARDEŁ

Przemysław Łuczak
Nowości, 13.02.2009

Ostro Pan zareagował na wypowiedź posła PiS Przemysława Gosiewskiego, sugerującą, że kiedy partie przestaną być finansowane z budżetu państwa, biznes za pieniądze będzie zapewniał sobie wpływy.

Mieliśmy już do czynienia z atakiem na biznes podczas rządów PiS-u i teraz znowu mówi się, że jak partie nie będą finansowane z budżetu, to biznes będzie kupował sobie przetargi. Ile było takich przypadków w ciągu 20 lat? Jeden, dwa? Słowo biznes dla polityków PiS-u oznacza korupcję, ale mówiąc tak, przykrywają oni sposób pobierania przez siebie pieniędzy z podatków nas wszystkich, bo pan, ja, czytelnicy składamy się na partie, które nie reprezentują naszych poglądów. Nie wolno straszyć ludzi biznesem, który rzekomo będzie korumpował

polityków. Politycy sami się korumpują, a system, który daje im tę manę z nieba, tylko temu sprzyja, więc niech politycy robią to, co się robi w cywilizowanych krajach. Prezydent Obama prowadził kampanię wyborczą przez dwa lata, zbierając datki od swoich wyborców i jakoś nikt go nie skorumpował. Trzeba sprawić, żeby i u nas partie były finansowane przez swoich wyborców. Oczywiście wszystko musi być legalne i przejrzyste. Obecny sposób finansowania petryfikuje cały system polityczny w Polsce. Nie ma szans, żeby jakkolwiek próba stworzenia nowej partii powiodła się, bo wyborcy podatni są na reklamę i kto więcej na nią wyłoży, ten wygrywa.

Dobrze nasz rząd walczy z kryzysem?

Walczy za wolno i wygląda, że nie jest przygotowany na kryzys. Na naszym rządzie mszczą się niezadowolone sprawy. Myślę o braku reformy finansów publicznych, bo wciąż więcej wydajemy niż mamy, a 70 procent budżetu stanowią wydatki tzw. socjalne. Powinien zostać gruntownie przebudowany system emerytalny i zapoczątkowana reforma KRUS, zmienić należy Kodeks pracy, a pakiet Szejnfelda, zmniejszający biurokrację, powinien zostać zrealizowany w całości. Działania te dotyczą również podatków, obniżania długu publicznego oraz deficytu budżetowego, który nadal jest za duży, a w okresie kryzysu pewnie będzie powiększony.

Czy rząd słusznie robi, starając się nie zwiększać deficytu budżetowego?

Rząd jest w bardzo trudnej sytuacji. Z jednej strony musi ograniczyć wydatki, utrzymywać deficyt na jak najniższym poziomie, żeby Polska była wiarygodna dla inwestorów krajowych i zagranicznych, co zapewni ludziom pracę i wyższe płace, z drugiej zaś rozszerzać zakres robót. Ale to można osiągnąć niekoniecznie zmniejszając wydatki inwestycyjne z budżetu. Trzeba w większej skali włączyć do budowy dróg i autostrad kapitał prywatny. Rząd musi utrzymywać dług publiczny i deficyt według kryteriów fiskalnych, które w przyszłości umożliwią nam wejście do strefy euro.

Jak słaby złoty wpływa na firmy?

Firmy mają mniej pieniędzy, a jeżeli zaciągały kredyty w różnych walutach, to teraz muszą je spłacać, wydając o wiele więcej złotych niż sobie zaplanowały. Skąd jednak je brać, skoro zakres robót się kurczy, a ludzie mniej kupują?

Czy polscy przedsiębiorcy mają wystarczające narzędzia do walki ze skutkami kryzysu?

Politycy długo utrzymywali, że nasza gospodarka ma silne podstawy. Ale polska gospodarka z długiem wewnętrznym sięgającym 600 miliardów złotych, z podobnej wielkości zadłużeniem firm prywatnych i z koniecznością jego szybkiej spłaty, jest słaba. Przedsiębiorstwa są małe i nie wytrzymują konkurencji, kiedy pogarszają się warunki na rynkach zagranicznych. Dusi je biurokracja, przepisy regulujące działalność gospodarczą są nieprecyzyjne, a sprawy w sądach i prokuraturach ciągną się latami. W istocie firmy są zdane na politykę gospodarczą rządu. Dlatego to rząd musi zagwarantować bankom udzielane firmom kredyty. Minister Rostowski zapowiedział poręczenia na sumę 90 mld złotych, ale to nie zostało jeszcze uruchomione.

Związkowcy obawiają się, że zmiany w prawie pracy część przedsiębiorców może wykorzystać przeciwko pracownikom.

Związkowcy - ze swojego punktu widzenia - mają rację. Ale pracodawcy też. Co więc zrobić, żeby wszyscy doszli do porozumienia? Tak jak Hiszpanie i Irlandczycy, zawierając umowy społeczne. Taka umowa społeczna została przez BCC zaproponowana dwa lata temu. Ale ta inicjatywa legła w gruzach. I dzisiaj, kiedy mamy kryzys, wszyscy sobie skaczą do gardeł. Dlatego BCC zaproponowało okrągły stół antykryzysowy, przy którym powinni zasiąść nie tylko uczestnicy Komisji Trójstronnej. Komisja powinna stać się niezależną płaszczyzną porozumiewania się, bo dzisiaj kierowana jest przez rząd. Sposób

prowadzenia w niej negocjacji jest nieprofesjonalny i najczęściej polega na przekrzykiwaniu się. Powinni być zaangażowani eksperci i negocjatorzy, a wszystkie strony muszą mieć pełną wiedzę na temat aktualnej sytuacji, jak może ona się rozwijać i jakie rozwiązania są konieczne. Dopiero to może prowadzić do porozumienia. Pracodawcy np. zobowiążą się, że nie będą zwalniać ludzi, a związkowcy, że w kryzysie czas pracy będzie nienormowany i rozliczany raz do roku. I, że mogą przejściowo być niższe pensje. Na przykład.

Związkowcy chcieliby, aby takie sprawy były rozstrzygane w zakładach pracy.

Aby firmy dobrze prosperowały, muszą zmienić się przepisy regulujące ich funkcjonowanie, zarówno w skali mikro, jak i makro. Nie może być tak, że płaca pracownika w ogólnym koszcie jego zatrudnienia to 40 procent, a 60 procent to różnego rodzaju narzuty, obniżające wynagrodzenie i podnoszące koszty działania przedsiębiorstwa. Przypomnę, że w 2004 roku wystąpiliśmy, nie ze wszystkimi związkami, ale z OPZZ i Forum Związków Zawodowych, do premiera Leszka Millera o obniżenie podatku od osób prawnych z 27 do 19 procent. I wpływy do kasy państwa z tego tytułu wzrosły o 30 procent. Żeby rząd zgodził się na tę obniżkę, potrzebne było poparcie związków zawodowych, więc one muszą zajmować się również parametrami makroekonomicznymi, a nie tylko mówić o dogadywaniu się w zakładach pracy.

Teczka osobowa

Marek Goliszewski, prezes zarządu BCC. Absolwent handlu w Szkole Głównej Planowania i Statystyki i dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim. Członek wielu stowarzyszeń, towarzystw i fundacji - krajowych i międzynarodowych.

Zainteresowania: literatura polska i angielska oraz sport - przed laty marek Goliszewski był czołowym zapaśnikiem świata w stylu klasycznym, medalistą Uniwersjady w Moskwie. Nadal trenuje zapasy i boks.

NOWY PLAN GRADA: PRACODAWCY GO CHWAŁĄ, OPOZYCJA I ZWIĄZKI MAJĄ MIESZANE UCZUCIA

Gazeta Wyborcza, 13.02.2009

CIRE.pl, 13.02.2009

Minister skarbu Aleksander Grad ma nowy plan prywatyzacji. Chce obniżyć wycenę spółek, mniej sprzedawać przez giełdę, a więcej inwestorom strategicznym. O tym jak jest on komentowany pisze dzisiejsza Gazeta Wyborcza.

- Ten plan jest zaskakujący i można powiedzieć nawet bulwersujący, bo chodzi o pozbycie się wielkiej części majątku narodowego po niskiej cenie - powiedział szef PiS Jarosław Kaczyński.

Jego partyjny podwładny poseł Paweł Poncyłjusz nie atakuje wprost ministerialnych planów. - Chcemy poznać więcej szczegółów, ale nie jesteśmy fundamentalnie przeciwni. Zgadzam się, by szybko sprzedawać małe spółki. Ale boję się tylko, że duże będą wyprzedawane za szybko, żeby zaspokoić potrzeby budżetu.

Poseł SLD Ryszard Zbrzyzny nazwał nowy plan prywatyzacji nieporozumieniem. - Śmiem twierdzić, że cały klub SLD będzie przeciwko takim pomysłom. Na Zachodzie w czasie bessy podejmuje się inne działania. Tam się nacjonalizuje! Naganny jest pomysł, żeby pozbyć się kontroli nad energetyką, tak istotnym działem gospodarki. To się nie spotka ani z akceptacją opozycji, ani współkoalicjanta PSL - powiedział Zbrzyzny.

Związki z zakładów przeznaczonych do sprzedaży nie mają na dzień dzisiejszy jasnej opinii i chcą najpierw poznać szczegóły.

- Negować coś, czego się nie zna, byłoby nieodpowiedzialne - powiedział Zdzisław Przydatek, szef "Solidarności" w Tauronie. - W sprawie sprzedaży przez giełdę była zgoda w firmie, bo pracownicy mieli dostać akcje - dodał.

Z kolei szef OPZZ w Enionie, spółce wchodzącej w skład Tauronu, Józef Król z miejsca odrzuca plan Grada. - Wygląda to bardziej na łatanie dziury budżetowej niż działanie dla dobra spółki - uważa.

Przyspieszenie prywatyzacji entuzjastycznie przyjmują za to pracodawcy.

- Nam potrzebne są szkoły i szpitale, a nie "srebra rodowe" - podkreśla Jeremi Mordasewicz, doradca zarządu konfederacji pracodawców Lewiatan. Jego zdaniem zwrócenie się w stronę inwestora strategicznego jest bardzo dobrym rozwiązaniem.

RZESZÓW-OPZZ-GUZ

IAR, 13.02.2009

aii.pl, 13.02.2009

Waluty.com.pl, 13.02.2009 15:22

OPZZ krytycznie odnosi się do rządowego programu antykryzysowego. Przewodniczący tej centrali związkowej Jan Guz powiedział w Rzeszowie, że wspieranie tylko sektora bankowego gwarancjami państwa jest niewystarczające. Zdaniem związkowców, rząd powinien bezpośrednio dotować utrzymanie zatrudnienia w przedsiębiorstwach. W ich opinii to fundusz pracy powinien wspierać zatrudnienie w zakładach. Jan Guz apeluje też o wykorzystanie środków unijnych na restrukturyzację przedsiębiorstw, a także - o szczególne potraktowanie firm, zużywających duże ilości energii. Guz przypomniał, że tego typu praktyki są stosowane również w innych państwach zachodnich i nie jest to sprzeczne z literą prawa. Odnosząc się do sytuacji w Hucie Stalowej Wola - szef OPZZ powiedział, że teraz decyzje należą do strony rządowej, gdyż pracownicy zrobili do tej pory wszystko, by utrzymać swoje miejsca pracy. W poniedziałek w Stalowej Woli zbierze się wojewódzka komisja dialogu społecznego. Jan Guz uczestniczył w posiedzeniu podkarpackiej rady regionalnej OPZZ.

R. Adamski/Polskie Radio Rzeszów/iar/jg/buch

NA KRYZYS NADZWYCZAJNA SESJA

mgd

Gazeta Wyborcza/Radom, 13.02.2009

Jak zaradzić kryzysowi, będą się zastanawiać radomscy radni i parlamentarzyści na nadzwyczajnej sesji w poniedziałek. Debata domagała się opozycja, więc o zwołanie rady poprosił... klub PiS.

Także na spotkaniu klubu PiS ustalono porządek obrad. Omówiona ma być sytuacja na rynku pracy, a także zamierzenia inwestycyjne. Magistrat przedstawi, jakie projekty unijne są przygotowywane i realizowane. W programie są wystąpienia: prezydenta, parlamentarzystów, zaproszonych gości, m.in. przedstawicieli Radomskiej Izby Przemysłowo-Handlowej, BCC, związków zawodowych - OPZZ i "Solidarności", a także dyskusja radnych oraz przyjęcie uchwał i stanowisk.

Jak mówi przewodniczący klubu, a zarazem rady miejskiej

Dariusz Wójcik (PiS), projektów żadnych uchwał czy stanowisk nie przygotowano. - Jeśli zostaną wypracowane, to będziemy je przyjmować - zaznacza Wójcik.

O radomską debatę w sprawie kryzysu upominali się kilka dni temu na konferencji prasowej radni opozycji. - Zadowoleni jesteście z szybkiej reakcji? - pytamy Wiesława Wędzonkę, szefa klubu PO.

- Ja oczekuję, że prezydent przedstawi nam stan finansów miasta i dowiemy się, czy zamierza oszczędzać. Chciałbym znać filozofię podejścia do antykryzysowych działań. Dowiedzieć się, czy np. będziemy prowadzić tak szerokim frontem - jak założyliśmy - inwestycje. Ja byłbym za poszukianiem oszczędności, przede wszystkim w administracji - mówi Wędzonka.

Sesja odbędzie się jak zwykle w sali USC, początek o godz. 13.

OPZZ APELUJE O POMOC

Miłosz Cieszyński
TVP Rzeszów, 13.02.2009

O sytuacji pracowników Huty Stalowa Wola- i wszystkich zwalnianych osób w Krośnie czy Sanoku- rozmawiali dziś związkowcy z OPZZ w czasie posiedzenia rady wojewódzkiej.

Główny wniosek to to - że konieczna jest natychmiastowa pomoc rządu- dla przedsiębiorstw dotkniętych skutkami kryzysu. Takiej pomocy- związkowcy będą domagać się także- na poniedziałkowym posiedzeniu wojewódzkiej komisji dialogu społecznego.

Zdaniem związkowców, przykład Huty Stalowa Wola pokazuje, że to pracownicy ponoszą największe koszty kryzysu. Jak mówił Jan Sierżęga - przewodniczący OPZZ na Podkarpaciu - w przypadku Stalowej Woli zrobili oni już wszystko co mogli. Teraz czekają na ruch rządu. Ratunkiem powinny zwolnienia podatkowe, ale nie tylko - twierdzą przedstawiciele OPZZ. Ponadto pieniądze z gwarantowanego funduszu świadczeń pracowniczych i funduszu pracy powinny, według związkowców, służyć utrzymaniu miejsc pracy, a nie pomocy dla tym, którzy już tę pracę stracili.